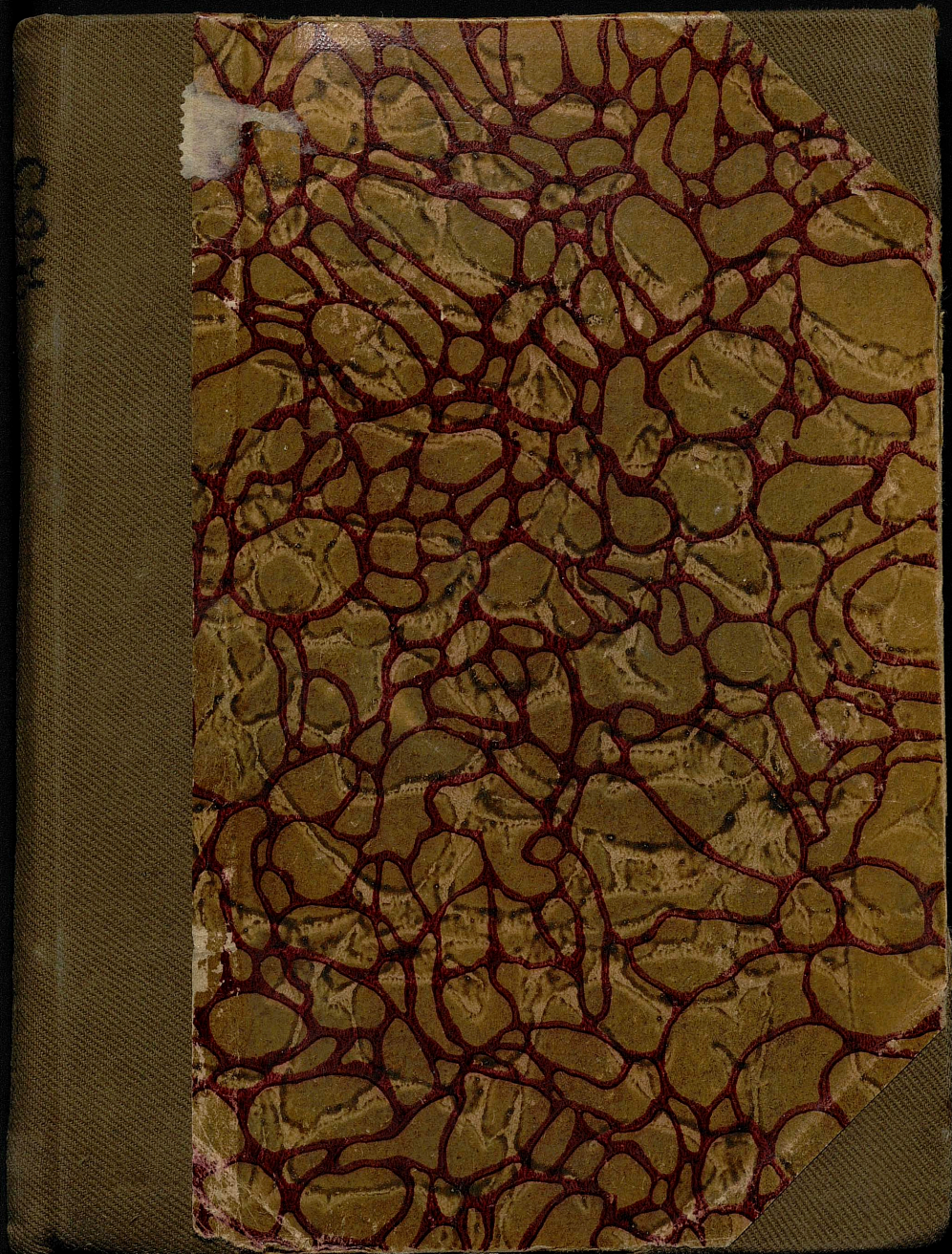


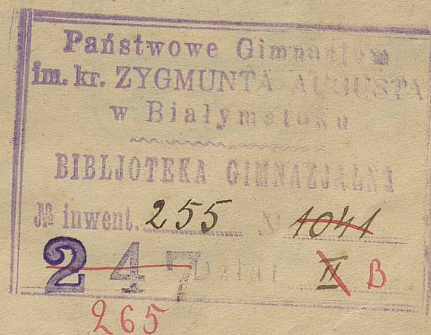


K. 21. u. r.

247

K. 21. u. r.

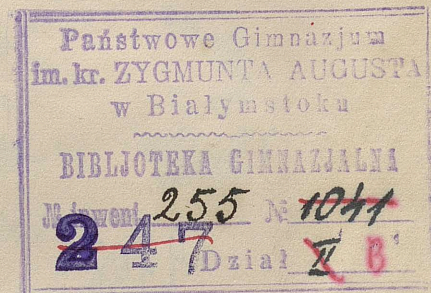
265



247
JAN KASPROWICZ

247

UTWORY
ROZPROSZONE



255

KRAKÓW

1930



I. POEZJE

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

LUDZIOM, WĄTPIĄCYM W PRZYSZŁOŚĆ

Ludziom, wątpiącym w przyszłość naszą,
Trzeba powiedzieć w oczy,
Że tylko słabych widma straszą
O krwawej szczęce smoczej.

Błąka się jeszcze po tej ziemi
Upiór minionej doby,
Co chciałby dłońmi żelaznymi
Świeże wciąż kopać groby.

Jeszcze on, życia depcąc prawa,
Dzikiej ufając sile,
Z dawną przed światem pychą stawą,
By zamknąć go w mogile.

Jeszcze on w uszy trwożnej rzeszy
Niesamowicie krzyczy,
Iż go, co dotąd ma, nie cieszy,
Iż nowych chce zdobyczy.

Upiorom trzeba cmentarzyska:
Wie o tem wróg Przyszłości,
Przeto stalowym rydlem błyska
Nad dołem dla — swych kości.

Są bowiem znaki już na niebie,
Już one prawdę głoszą,
Że coraz spieszniej sam się grzebie
Kto drugich grzebi z rozkoszą.

Dlatego, bracie mój rodzony,
O losy bądź spokojny:
Inne gotuje Bóg nam plony,
Niż pragnął demon wojny.

Śmiej się, gdy groźby najplugawsze
Gdzieś jeszcze się błakają,
Boć świat nie może być na zawsze
Samych rabusiów zgrają.

Śmiej się, lecz śmiech tu nie jest wszystkim,
Wiara, co z niego płynie,
Niechaj się chwiejnym zajmie chłystkiem,
Ażeby zmęźniał w czynie.

Niech naokoło leczy, krzepi,
By nas nie lżono słowy,
Że tchórze byli tu i ślepi,
Gdy świat się rodził nowy.

W TĘ NOC ZWYCIĘSKIEGO ŚWIĘTA

W tę noc zwycięskiego święta,
Kiedy Bóg rodzi się nowy,
Niech każdy o tem pamięta,

Że jeszcze kępują nas pęta,
Nie całkiem spadły okowy.

Jeszcze krew nasza się leje
Strugami tak obfitemi,
Że słabsi już tracą nadzieję,
By szatan, co w kulać się śmieje,
Uszedł z nieszczęsnej tej ziemi.

Jeszcze się palą nam siola,
Rabunki kwitną i rzezie,
O pomstę zniszczenia wciąż woła,
Jak upiór, strach niosąc dokoła
Za losów rydwanem lezie.

Czai się wróg, acz zgnębiony
Prawicą Sprawiedliwości:
Nie całkiem obcięto mu szpony,
By można — niechając obrony —
W spokoju wyciągnąć kości.

Gdzie Gwałt zawodzi, tam wprasza
Chytrze się czujna Zagłada:
W chałupkach, w izdebkach poddasza,
Gdzie przyszłość ustala się nasza,
Przy stole przyszłości siada.

Cień jeszcze jest między nami,
Który nam mózgi przesłania,
Że snąć nie wiemy już sami,
Jakiemi oderwać siłami
Moc życia od dni konania.

Zamknięte masz oczy na to,
Druhu z tchórzostwa aż siny,
Że jeśli we wielkie już lato
Siew dla nas nie wszędzie bogato
Z naszej to będzie przewiny?

Niejednym głód dziś zaświeci —
To nie! Lecz hańbę któż zmierzy,
Jeżeli na wilję stuleci
Radosnej dla naszych my dzieci
Nie zapewnimy wieczery?!

W tę noc zwycięskiego święta,
Kiedy Bóg rodzi się nowy,
Niech każdy dziś o tem pamięta
Że jeszcze krępują nas pęta
Nie całkiem spadły okowy.

BÓG Z TOBĄ, POLSKI ŻOŁNIERZU

Bóg z tobą, polski żołnierzu,
Bóg z twoją szlachetną bronią,
Któż błysnął ci stałą przed oczy,
Któż kazał ci sięgać po nią?

Nie przymus, co piętno niewoli
Na duszy ludzkiej wyciska,
Jeno ten dzień powstający,
Jeno te światu ogniska.

I w silnych ją dierzysz rękach,
Na losy z nim idziesz twarde,
Masz uwielbienie dla życia,
Dla śmierci żywisz pogardę.

Idziesz z piosenką na ustach,
Weselne czekają cię gody,
Z twą Polską zawierasz dziś śluby,
Ty polski żołnierzu młody!

Cóż może znaczyć dla ciebie
Że twe mogiły wciąż rosną?
Na warcie u bramy cmentarnej,
Druh z wieścią stoi radosną.

Czekali na nią od wieku
Twe dziady i ojce twoje,
Dziś ty pragnienia ich spełniasz,
Kościom ich niesiesz ukoje.

Zbliża się dzień, gdzie już całkiem
Świat księgę grzechów swych podrze;
Ty mażesz haniebne jej zgłoski
Krwcią wylewaną tak szczodrze.

W walce, co daje nam życie,
Nie splamisz swego oręża;
Brud czasem sukces odniesie,
Lecz tylko czystość zwycięża.

Bóg z tobą, polski żołnierzu,
Bóg z twą szlachetną bronią,

Szczęśliwy i szczęście niosący
Kto umiał dziś sięgnąć po nią...

ŚLEPCE

Okrutny mam codzienn widok,
co snąć mi duszę rozdepce:
obok mych okien przechodzą
biedni żołnierze — ślepce.

Parami idą pod rękę,
kijkiem macają ziemię —
wspomnienie zgasłego słońca
pod pustą powieką drzemie.

Patrzą przed siebie, nie widzą,
smutek pokrywa im lice,
stracili bogactwo żywota,
skarb przenajdroższy, żrenice.

Potyka się jeden i drugi,
zamyślon ach, w jaki też sposób
zobaczy tę radość, kwitnącą
na twarzach najbliższych osób.

Potyka się jeden i drugi,
zamyślon nad łanem zieleni:
Choć skąpo on zasian, swym czarem
nie dla ich oczu się mieni.

O ziemio, ty nasza macierzy,

czy na to rodzisz swe dziatki,
ażebym omackiem kroczyły,
padali na drodze gładkiej?

Na krwawą ruszyli wojnę,
nadzieja powrotu ich mami,
czas nadszedł, iż z pola wrócili,
ale wrócili — ślepcami.

Wita ich matka i żona,
dzieci witają rodzone:
hej synu, hej mężu, hej ojczu!
w rodzinną wróciłeś stronę.

Krzyż masz na piersiach i medal,
wart jesteś największej chwały —
tak mówią, tak wielbią tve czyny,
lecz gdzież się tve oczy podziały?

ROZKAZ

Idź! Czuwaj! Do czynu ciągłego
Młodzieńcze wyciągaj ramiona,
Ojczyzna sprawności twej wzywa,
Do ciebie ma prawo li Ona!

Idź! Czuwaj! i zawsze miej wiarę,
Cokolwiekby losy zrządziły:
Jest Polska i będzie do końca,
Jeśli Jej starczy twej siły!

Idź! Czuwaj! kochając swe serce
Prawdy w niem buduj świątynię:
Żyć warto, jeśli Twe serce
Ofiarnie dla Polski płynie.

Idź! Czuwaj! Otwarte miej oczy,
Byś dostrzegł w sam czas z jakiej strony
I jaki się wróg ku nam skrada,
Chęcią niszczenia wiedziony.

Idź! Czuwaj! Bądź czujny! Codziennie
Ucho przykładaj do ziemi,
Byś słyszał jej szept najmniejszy,
Gdzie pójść masz z ramiony swojemi.

Idź! Czuwaj! Patrz! Słuchaj, byś wiedział,
Nim z swoją rozminiesz się doba,
Gdzie pójść masz z sercem i duszą
Z tem wszystkim, co tylko jest — tobą.

PIEŚŃ OCHOTNIKA

Nie nadarmo dziś mnie woła
Ten mój polski Kraj:
„Co masz w sobie najlepszego
To mi, bracie, daj“!
Dam ci krew swą, dam ci życie,
gdy mi mówisz „idź“,
Bo ja wolę ruszać w pole,
Niż w chałupie gnić.

DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA, DZIEŃ WESELA

Dzień zmartwychwstania, dzień wesela,
Jakżeż nam dusze rosną!
Jeno, że jeszcze mroczna zima
Z jasną się zмага wiosną.

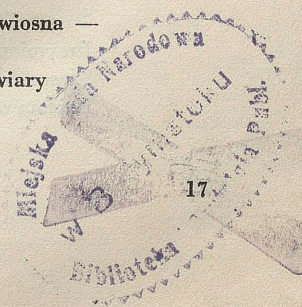
Lecz cóż to znaczy?! Wszak wiadome
Rządzące światem prawa —
Odnosi triumf ostateczny
Opatrzność przełaskawa:

Zwycięża zbrodnie, łamie pychę,
Rękami niechybnemi
Oreż wytrąca tym, co myślą,
Że on jest władcą ziemi.

Zdeptanych w prochu dźwiga w górę,
Depczących biczem smagnie,
Maskę obłudy zdziera z wilka,
Gdy chce udawać jagnię.

Spełniwszy dzieło sprawiedliwe,
Tamuje krwi upusty,
Głodnym podaje chleb, czas chudy
Na wiek przemienia tłusty...

Już się przybliża k'nam ta wiosna —
Ostatnia, widać pora,
Albowiem Polsko, na brak wiary
Aż nazbyt jesteś chora.



Niechże się skończy to czekanie:
Nie dobrze-ż ono służy,
Albowiem zastęp twój częstokroć
Bywa gromadą tchórzy...

A gdy się skończy, człek nareszcie
Biadać się odzwyczai,
Że masz za mało wolnych mężów.
Za dużo zaś lokai.

MITOLOGJA WOJENNA

Dotąd był tylko jeden Bóg,
Tak w szkole nas uczono,
A dziś pogański wrócił czas:
Setka jest bogów pono.

Trudno wymieniać cały tłum,
Tak barwny i tak mnogi,
Wystarczy poznać kilka twierdz
Dzisiejszej mitologii.

Jakiś-ci złodziej zręczną dłoń
Wsunął do kamizelki
I, rad z zegarka, składa dzięk:
Pomogłeś Boże wielki!

To rzezimieszków Bóg, a z nim
Przymierze w lot zawiera
Szczególny patron: zwie się on
Bogiem *Kriegsgewinnera*.

Na twojej się nędzy taki pan
Utuczył i spokojny,
Ufa, że jego właśnie bóg
Jest wrogiem końca wojny...

Przyszedł przyjaciel, wyciął las,
Podpalił chłopską chatę,
Polskiego raba w jasyr wziął,
By żniwa mieć bogate.

Okroić pragnie cudzą włosć —
Każdy dorobek miły —
I w telegramach głosi cześć
Wspomoźcyela... siły.

Godny naprawdę jest to Bóg,
Świat nie zapomni o tem,
Wie, że osobnej wart on czci,
Gdyż zowie się — *Herrgotem*...

Z „PIEŚNI MURZYNÓW“

I.

Jestem-ci murzyn... Chytry świat —
On zwie nas niewolnikami,
Niektórzy nawet wrzeszczeć śmia,
Że człeka niewola plami.

Jakiż ja człowiek? Murzyn ja,
Mam rozum i godność swoją,

Nie strach mi tego, czego snąć
Tak zwani ludzie się boją.

Boją nie boją... tyle wiem,
I że nie bardzo są radzi,
Jeśli po gębie jakiś drab
Nazbyt ich mocno pogładzi.

Gotowi nawet — ach! o! ach!
O, zuchwałości niesyta! —
Tak na odlewkę palnąć go,
Że aż wyciągnie kopyta!

Ja spełniam swoje... Mój się duch
Na taką pychę nie waży!
Kopnął mnie zresztą — w pewną część,
Cóż znaczy ta część przy twarzy...

A gdyby nawet — mniejsza z tem!
Jest sprawiedliwość na świecie!
Jak zaś pokora służy mnie,
Wy sami to zrozumiecie:

Zabrał mi krowę pewien pan,
I cóż ja na to poradzę?
Przecież on z białych ludzi jest,
A biali wszak mają władzę!

Stuliłem uszy, no i dziś
Radością z wami się dzielę:
Abym nie żądał krowy swej,
Pan ofiaruje mi cielę!

Biorę — z podzięką, gardzę zaś
Tych głupich pyszałków zgrają,
Nie chcących wierzyć, że trza brać,
Jeśli cokolwiek wracają.

Jeden miał nawet czelność rzec:
„Gdzie, człeku, zmysły masz zdrowe?
Wychowasz ciele, ten sam pan
Z obory zabierze ci — krowę!”

Jakiż ja człowiek?! Murzyn ja,
Rumaka nie zrobisz z osła,
Przeto nie mogę wyżej... stać,
Niżli mi... dusza wyrosła!...

II.

Murzyn-ci jestem! Dobrzy ludzie,
Czego wy chcecie ode mnie?
Toć nas w murzyńskich obyczajach
Chowano nienadaremnie.

Uczono giąć się, kłaniać nisko,
Na świat spoglądać realnie,
W jedno-li wierzyć powodzenie:
W przedpokój i poczekalnie.

I ja też klamek z rąk nie puszczam,
Patrzę przez dziurki od kluczy,
Czy się nie nadam do posługi,
Wiem, że posługa nas tuczy.

Najgłębszy mędrzec nie odgadnie,
Skąd łaska pańska cię spotka,
Skąd ci przyjazny wiatr zawieje,
Od pola, czy od wychodka.

Wchłaniam go w duszę, dzięki składam,
I Bogu i Przyrodzeniu,
Że w przyrodzonym chodzę świetle,
Gdy inni ukryci są w cieniu.

Mam prawo dumnie nosić głowę,
Serce rozkoszą mi wzbiera,
Dziś mnie pasował chlebowdawca
Na Ober-kamerdynera.

Ciekawy wielce, jak mi życie
W nowym honorze popłynie,
Popróbowiałem swej zręczności,
No i wyniosłem — naczynie...

Co znaczy dla mnie zaszczyt taki,
Czy wy to pojąć możecie?!
Jedni zmykają za stodoły,
A ja mam głos — w gabinecie.

Innym wszy świecę na kołnierzu,
Ja mam galonik z gwiazdkami!
I jakżeż tu się nie radować,
Raczej osądzić wy sami!

Ale najwięcej to mnie cieszy:
We mnie uczynność się budzi!

Moim przykładem ród murzyński
Mogę postawić na — ludzi!

Przykład jedyny! Kto w swej pysze
Zasady odmienne głosi,
Ten jest półgłówkiem lub fantastą,
Ziemie wytrąca z osi.

Niestety! takich dziś szkodników —
O, nie puszczajcie im płazem —
Coraz to więcej, ale o tem
Następnym zaśpiewam razem,

III.

Wilson, Wilsona, Wilsonowi...
Ja tym murzynom dałbym placka,
Którym trafiłaby do serca
Ta deklinacja przecudacka.

Co? dałbym placka? Nie! z rozpacy
I z wielkiej trwogi wlaźłbym w bety
I z pod pierzyny w niebogłosy
Krzyczałbym: Gore! ach! O rety!

Bo jak się nie bać, nie rozpaczać,
Jak nie przyzywać pomsty Boga,
Gdy mi lojalność w głębi duszy
Chce wyrwać jakiś powsinoga.

Obiecankami chce mnie zdurzyć,
Abym zapomniał z czego żyję —

Jakto? Mam dzisiaj zdradzać pana,
Który wypłaca mi pensyję.

Gdybym mógł wierzyć, że gdzieś... z czasem...
Ale to czemu jest ideałem!
Największe skarby ten posiada,
Kto poprzestaje rad na małym...

Wilson, Wilsona, Wilsonowi...
Lichy bluffista, humbugowicz!
Co mnie obchodzi, że są w świecie
Jakieś Suwałki, Łódź czy Łowicz?!

Albo ta śmieszna kombinacja,
Co „prawu pięści śmierć wydzwania!”
Kto raz wziął Poznań z ręki słabszych,
Ten nie wypuści już Poznania...

A gdyby kiedyś... jakoś... Owszem!...
Przecież to złuda, pomysł dziki,
Którym murzynów chce znieprawić
Zamorski szkodnik nad szkodniki.

I to dla czego? Chce w nas wmówić,
Że jest za ciasno w Gdowie, w Jaśle
Albo w Mościskach... Mnie tam dobrze,
Gdzie żywot idzie jak po maśle...

Hm? miałby-ż słuszność?... Więc otwarcie —
Otwartość cnota jest to przednia —
Wyznam, że nic mnie nie powstrzyma
Po szerszy oddech gnać do — Wiednia.

Wilson, Wilsona, Wilsonowi,
Nawet — z Wilsonem!!... O Wilsonie,
Kto ciebie rodzi, że przyrzekasz
Gdy przyrzekają — ci w koronie?

Morze — powiadasz... Co mnie morze?!
Wiem z doświadczenia, jak smakuje
Taka przyjemność!... Morze lubią
Rymopisowie, albo zbóje.

Gdyby zaś przyszła na mnie chwila,
Abym uwierzył, iż... Nie! pańska
Chroń mnie opatrność! Mam przykłady:
Ongi jeżdżono stąd do Gdańska.

I jaki skutek? Galarami
Ślano pszenicę i za grosze
Przepito świętą, ach! Ojczyznę!
Takie to morskie są rozkosze!

Ja na pniu sprzedam, a gdy Skawa
Lub Seret półko mi zaleje,
Rząd nie poskapi odszkodowań,
Więc poco inne snuć nadzieje?!

IV.

O przyjaciele, przyjaciele,
Cóżście narobili!
Tak wam wierzyłem, tak ufałem,
Aż do ostatniej chwili!

I dzisiaj wierzę, bo mam honor,
Mam stałość przekonania,
Choć ten wypadek, co was spotkał,
Wierzyć mi wprost zabrania.

Jakiż to biedny murzyn ze mnie,
Ach! żal mi, że istnieję,
Bo w moich oczach wszak zmieniają
Dziejowe się koleje...

Marna, tak marna to godzina,
Gdzie wszystko się rozprzęga:
W żelazo zbrojną pięść rdze jedzą,
Skruszeje stal — potęga.

Któż będzie uczył nas, nędzarzy,
Jak sztywnie nosić głowę,
Jak też ulice czyścić trzeba
I miejsca ustępowe.

Któż będzie stawiał nam te słupki,
To wskazujące drzewo,
Kiedy na prawo iść po moście,
A kiedy iść na lewo?!

Nauczycielom takiej miary
Nikt w świecie nie dorówna,
Bo któż tak wie w tych czasach biedy
Jak tłuszczyć wyciągać z gówna?!

Któż będzie tyle miał rozumu
W tem zamieszaniu dzikiem,

By mnie, murzyna, tak wdzięcznego,
Bronić przed Bolszewikiem?!

Zdawało mi się: z waszych plonów
I murzyn też coś zgarnie,
A wszystkie plony wędzną dzisiaj
Tak marnie, ach! tak marnie!...

Przyszliście do nas — Bóg wam nagrodzi
Te manifesty wasze,
Co nas stawiały znów na nogi
Za mąkę i za kaszę.

Braliście wszystkich w swe objęcia,
Ufni, że takich braci
Nie śmie nikt puścić z próżną ręką,
Bez koszul i bez gaci.

Że ktoś w uściskach tych aż pisał,
Jam oto był spokojny,
Myślałem zawsze: racja stanu,
Albo też racja wojny.

Marna, tak marna to godzina,
Gdzie mówiąc jaknajszczerzej,
Mało kto rad jest z swych kompanów,
Mało kto w przyjaźń wierzy.

Gotów jest nawet ktoś powiedzieć,
Co oczu nie zamyka
Na góry, rzeki, iż miał we mnie
Kiepskiego polityka.

A czyż-to prawda? są dowody,
Że nasi przyjaciele
Dali nam wszystko, co potrzeba,
Czasami aż za wiele!

Ministrów nawet, druhy lube!
Dała nam wasza łaska,
Mężczyzn, przezornych, a pokornych,
Jak święty Rab z obrazka.

Wiedzą jak wdzięczność się oplaca,
A mądrzy w każdym calu,
Pragnęli mądrość swą na eksport
Stać gdzieś aż do — Wersalu.

Dziś wszystko szczezło!... Któż wam ochłodzi
Tę zbyt gorącą parnię?
Jabym wam pomógł... lecz sam ginę
Tak marnie, ach! tak marnie!...

EPITAFIUM

Śmieszna rzecz pisać epitafia,
Z godnością to nie licuje
Poważanego gryzipiórka,
Co nie chce pójść w rymokuje.

I już tembardziej, jeśli los cię
Nie pozostawił na lodzie,
Jeno-ć pozwolił żyć w zacniejszym
Hierarchicznym zawodzie.

Największym przecież jest upadkiem —
O wyznaj choć pocichutku —
Jeśli mądrości swe lokujesz
W jakimś mizernym „Szczutku“.

Wszystko to prawda, lecz — są chwile
Tak arcyważne bez granic,
Że człek pomiatać może światem
Mieć nawet i siebie za nic.

Dziś właśnie taki czas, gdzie wolno
Zaprząć Pegaza do taczek:
Dzień historyczny, zmarł ostatni
Cesarsko-królewski Polaczek.

Słyszano o nim w Europie
Zwłaszcza nad modrym Dunajem
Czci on zażywał, którą owszem,
Z „rodzinnym“ dzielił się krajem.

Więc może-ż człowiek, jeśli rękę
Ma trzymać na życia tętnie,
Z obywateli takich skonem
Spotykać się obojętnie?

Gdy on nagrobka nie postawi,
Któż im wspomnienie poświęci?
Przytem należy się dopomóc
Niewdzięcznej ludzkiej pamięci.

Zgasł co dopiero — wczoraj wieczór,
Czy ponoś dzisiaj nad ranem,

A już w południe stał się biedak
Czemś całkiem ach! zapomnianem.

Znalazł się nawet cham, co wrzeszczał:
„Szkoda grosz dawać wdowi
Na chrześcijański, ludzki pogrzeb
Takiemu C. K. trupowi“.

Miał dużo krewnych, nawet braci
Rodzoniusińskich miał kilku,
A dzisiaj o nim wszyscy mówią
Jak o żelaznym wilku:

Czem był? — nie wiada; zresztą, panie,
Któżby się troszczył o to?!
Jakimś ministrem, czy hofratem,
Miał na kołnierzu złoto“.

„Niech Pan Bóg broni! Był nadradca,
Czy innym prezydjalistą,
Miał jakąś rangę, wszystko jedno,
Fikcyjną, czy rzeczywistą“.

A ktoś tuż obok z wielką flegmą —
Natura to, widać, żabia —
„Panie“, powiada, „to był książę,
A może tylko hrabia...“

„Pan mnie objaśni, czem był zgasły“ —
Tak do sąsiada się zwróć —,
„Wiem, że on pańskim przecieź bratem,
A Pan go drzesz jak onucę“.

„On bratem moim?! Bardzo proszę!
Obrazy tej plazem nie puszczę!
Ja jestem *Polak*, on pomnażał
Cesarskich *Polaczków* tłuszcę!“

Takie się toczą rozmowy
Nad ledwie zamkniętą trumną,
A *kraj rodzinny*, zamiast płakać,
Postawę przybiera dumną.

I epitafium pisze godne:
„D. O. M. Tutaj on leży,
Ów dziwołazek biologiczny,
Synek przybranej macierzy.

Zaś wy nie chodźcie w jego ślady,
Pobożni chrześcijanie.
Bo żywot wieczny go nie czeka,
On z martwych już nie powstanie“.

Co mocny Boże, niechaj sprawi
Twa łaska niepowszednia,
A gdyby w grobie miał się ruszyć,
Odstaw go prędko do — Wiednia.

TRUDNO SIĘ NIE ŚMIAĆ SERDECZNIE

Dzisiaj, gdy Czas nowym światom
Na oścież otwiera wierzeje,
Trudno się nie śmiać serdecznie,
Patrząc, co w Polskę się dzieje.

Ale że śmiech i najszczerzy
Nie bardzo dziś idzie na zdrowie,
Wystarczy, jeżeli zapiszesz,
Co mieści w niejonej się głowie.

O exodusie królów
Posłyszał ludek w Warszawie
I myśli: „Kto z czasem nie idzie
Ten wielkiej nie służy sprawie.“

Więc do orzełka się zabrał
I ptaszę, okrutnie zbiedzone,
Osobnym straciło dekretem
Swą malowaną koronę.

Dziękować Bogu, że w dobie,
Gdy pacjenci wciąż giną,
Naszego nie zoperowali
Razem ze zdrową głowiną.

Ale i taki wypadek
Zbyt łatwo stać się gotowy
Tam, gdzie się do operacji
Biorą lekarze bez głowy...

O jakżeby człowiek śmiał się,
Gdyby żołądek miał syty!
Radosne nadeszły wieści:
Warszawa pnie się na szczyty!

Że pompierskiej drabinki
Do swego wysiłku użyła,

Trudno się dziwić, wszak „Zamek“
Nie skalna, tatrzańska to bryła.

A zresztą rzecz obojętna,
Jak zabrać do swego się dzieła,
Byleby w myśl nowej epoki
Zaznaczyć, że „Nie zginęła!“

Zaś zginąć jak łatwoby mogła
Przez — niedobrane kolory
Z fabryki jakiejś odwiecznej,
Z ręki, z starości chorej!

Wróg pono ciągle gdzieś czyha
Na całość, gdzieś jakichś bezpraw
Dopuszcza się pono i brat się
Gdzieś pono okrutnie krwawi...

O, cierpliwości, a w porę
Któżby się pchał — do Piławiec!
Już mamy płócienko czerwone,
Znajdzie się wkrótce i krawiec.

Cieszę się, mój przyjacielu,
Nareszcie zmądrzeli nasi,
Polska zatriumfuje,
Mózg z niej wygnano ptasi!

Dzisiaj, gdy Czas nowym światom
Na oścież otwiera wierzeje,
Trudno się nie śmiać serdecznie,
Patrząc, co w Polsce się dzieje...

KOCHANY OBROŃCO LWOWA

Kochany obrońco Lwowa,
ty żołnierzyku młody,
pozdrawiam Cię najserdeczniej
za cudny ów dzień swobody.

Pozdrawiam cię jaknajmilej
za ono jesienne rano,
gdy piersiom, mgłą przygniecionym,
na nowo odetchnąć dano.

Jakież to było wesele,
jaka otucha to świeża,
gdy naród wśród swoich ulic
swego zobaczył żołnierza.

O, dumnie on kroczył, przedumnie,
z połami zakasanemi,
karabin, przewieszon przez plecy,
sięgał mu prawie do ziemi.

Papieros w chłopięcych ustach —
daruję ci nawet ten grzeszek! —
na wargi nam wywoływał
dziwnie radosny uśmieszek...

Pozdrawiam cię, żołnierzyku,
ściskam gorąco twe dłonie —
o, kłaniam ci się, żeś umiał
stanąć w honoru obronie.

Mówię-ć, żeś godny właściciel
swych wawrzynowych gałązek!
ale się w pychę nie wzbijaj,
spełniłeś li obowiązek...

Tak! twoja to była sprawa,
twój zapał, twe poświęcenie,
że Polska ma na swej rubieży
nieuszczerplone swe mienie.

Twoja to była zasługa,
że nawet w serca zwątpiałe
przelewa pogarda śmierci
swą wiarę w żywota chwałę.

I dzisiaj, gdy zło niejedno
niejedną gasi nadzieję,
swym urokiem, ów czyn twój dobry
nadzieją wciąż nową jaśnieje.

Pozdrawiam cię, żołnierzyku,
ty, co — zrzędziły tak losy —
na nowesł siedł niewywczaszy,
nieraz obdarty i bosy.

Wywczasów będziesz miał dosyć,
gdy po skończonej robocie
zobaczysz, jak dzięki tobie
Polska przelicza swe krocie.

Albo, gdy tak się przydarzy,
iż niejedna maleńka kula

w ziemi cię rzuci objęcia,
co w końcu wszystkich przytula.

Do drogich pójdziesz kamratów —
pozdrawiam ich razem z tobą,
dziękując za zgon chwalebny,
choć tylu okrył żałobą.

Nie zdepcie waszych kurhanów
Niepamięć, nie zrówna ich z ziemią,
bo wie, że w ich chłodnych komnatach
bohaterowie drzemia...

ANO! WIĘC MAMY SILNY RZĄD

Ano! więc mamy silny rząd,
Takie nas wieści dochodzą
Z onej Warszawy, gdzie się wciąż
Cudowne grzyby rodzą.

Po każdym deszczu, choć ten deszcz
Niezbyt pomyślny dla żyta
Czy dla kartofli — ale któż
O takie głupstwa dziś pyta!

Dosyć, że mamy silny rząd —
Pokłon ci, silny rządzie! —
Może się wreszcie Polski gmach
W swych fundamentach osiadzie.

Ponoś nie pewnie stoi on,
Chwieją się jego ściany,
Złośliwi twierdzą, że nasz dom
Na bagnach jest zbudowany.

Ile w tem racji, trudno rzec —
Przesada nie mała, zda się,
Natomiast przyzna każdy z nas,
Że inna jest prawda na czasie:

Kał, nieporządek, śmieci stek
Najlepszą budowę zburzy,
Jeżeli tęgich niema w niej
I presumiennych stróży.

Podnosi nogę lada pies.
Zostawia znak swój u węgła,
Widząc, że niema żadnej z władz,
Coby go miotłą dosięgła.

Zachodzi rabuś w taki gmach
Otwarcie, nie pokryjomu,
I tak się szasta, jakby on
Był gospodarzem w tym domu.

Zjawi się jakiś śmiałek w czas,
Szlachetny cywil czy żołnierz,
Biada mu jeśli śmiałość miał
Pochwycić łotra za kołnierz.

Jasny pan złodziej ma swą broń!
Zagrozi protektorami,

Lud też spółnika chce mieć w nim:
„Pracuj pan razem z nami!”

Lub mu łapówkę wciska w dłoń,
A widząc, że z trudem go kupi,
Wraz go na ambit gotów wziąć:
„Dlaczegoś waćpan tak głupi?!”

To się i tamto szerzy zło,
Taka moralność się wzmacza,
Jeśli dozorcę odbiegł hart,
Jeśli ich rzuca odwaga.

Jeśli rozumu jest im brak,
Że trzeba żelaznej miotły,
By wymieść brudy, co już dziś
Tak strasznie w dom się nasz wgniotły.

Przykro spoglądać — chyba człek
Całkiem już z wstydu się spali —
Jak sobie ktoś zatyka nos
I obojętnie mknie dalej.

A czyż nie mniejszy jest to srom —
Hańb takich chyba niewiele —
Że idąc mimo naszych ścian,
Litują się przyjaciele.

Zaś z cicha szydzi czujny wróg
I chytrą żywi nadzieję,
Że na ratunek przyjdzie on
I potem w głos się zaśmieje.

Niedoczekanie, wrogu, twe,
Z miotłą do naszej bramy
Ty się nie zbliżysz, bo już dziś
Przesilnych dozorców mamy!

Tak mówią wszyscy, taka wieść
Nadchodzi do nas z Warszawy,
Gdzie na cudownych grzybów tłum
Jest lada deszczyk łaskawy.

II. LISTY I WIERSZE OKOLICZNOŚCIOWE

O RZECZACH CODZIENNYCH I ZWYKŁYCH

(L. Bernackiemu na pamiątkę)

Pan sądzisz, żem zapomniał? Że zdala od Lwowa
Przestała się już całkiem zajmować ma głowa
Lwowskimi przyjaciółmi? Że to moje serce
Podobne jest najwyżej maleńkiej iskerce,
A nie tym dawnym ogniom, co mnie tak trawiły,
Przyjaźnią lub miłością, że nie miałem siły
Opierać się ich mocy, jenom biegł za niemi,
Dopókim się nie potknął o — kruszynę ziemi?
Dopóki los, me kroki śledzący zmienacka
Godnego szaleńcowi nie wymierzył placka
I sińców nie zostawił porządnych? Nawiasem
Mówiący, człek się dziwi, jak to w nim się czasem
Pojęcia przemieniają! Zdało mi się wtedy,
Że w duszę moją godził razami swej biedy,
A dzisiaj mi się zdaje, na wielkie me szczęście,
Że jego, przyznać trzeba, dosyć twarde pięście
Do miejsca się dobrały, co choć wspólne zgłoski
Ma z duszą, to już chyba z istotą jej troski
Wspólności niema żadnej. A może to przecie
Jest jedno i tosamo? Któż to wie?

W gazecie
Czytałem i prywatne doszły mnie też wieści
Od ludzi, którym bardzo zależy na cześci

I dobru spraw ogólnych, że, panie Ludwiku,
 Zadowolony jesteś z zabiegów wyniku,
 Co Zakład, dziś powierzon twej wyłącznej pieczy,
 Do szczytu doprowadzą... Wiara wszystko leczy.
 I Pan masz, przy swej woli, tę niezłomną wiarę,
 Że będziesz umiał błędy ponaprawiać stare,
 Zapobiec złym posiewom, którymiby chciała
 Zachwasić grunt szlachetny zła ręka... Wspaniała,
 Przepiękna jest nadzieja, jeśli w lot uśmierca
 Zwątpienie! Tę nadzieję ja mam w głębi serca
 I całkiem już spokojny o przyszłość, z pokojem
 Życzenia Panu składam. Winszuję. W tem mojem
 Życzeniu, acz spóźnionem, zechciej mieć rękojmię,
 Że tak, jak wielu innych, jeśli los Ci dojmie,
 I ja przy Tobie stanę... Ale los łaskawy
 Nie skrzywdzi ani Pana, ani wspólnej sprawy...
 Spóźniłem się... Ot, głupstwo! Człowiek na wsi żyje,
 Jest niby na wakacjach, a ciąglą ma chryję:
 To jedno mu przeszkodzi, to drugie. Raz goście
 Do progów twoich dotrą po dziurawym moście
 I owszem, gdy proszeni. A gdy nieproszeni,
 To cóż masz począć z nimi? Zostawić ich w sieni?
 Przenigdy! Więc ich bawisz, no i, oczywiście,
 W sam raz o zamierzonym zapominasz liście.
 A potem te nieszczęsne skutki wojny! W domu,
 Gdzie tyle jest żołądków! Czas ten dziś nikomu
 Kłopotów nie oszczędzi...

Wyznaję też szczerze,
 Iż nieraz i mnie chętką nieprzeparta bierze —
 O, przebac mi, zdradzona, wyszła Hippokreno! —
 Bynajmniej nie do pióra skrzętnego, a jeno —
 Do „brydża“... Któż dziś nie gra!... Gdy przyjdzie godzina

Tej wielkiej namiętności, człowiek zapomina
 O wszystkim, nawet o tem, że mu w brzuchu burczy...
 Ja łatwo z tem się poram, bo mi ród jaszczurczy,
 Chytrącią szpikowane plemię Eskulapa,
 Dziś nawet najlichszego zawiści ochłapa.
 Nie powiem już o winie, co niedawno jeszcze
 Wprawilo moją duszę w tak rozkoszne dreszcze,
 Iż czuła, jak u ramion prężą się jej skrzydła
 I jak jej znika z oczu ta ziemia obrzydła —
 O winie (któż moc jego leczniczą wysłowi?),
 Co zdrowieby wróciło nawet i koniowi!
 Snać nie wie o tem lekarz, jako że od młodu
 Wyłącznie do rycyny przywykł i do jodu...
 Choruję... Ponoć serce nie domaga wielce...
 Nie to, co ogrom świata w najmniejszej kropelce
 Dostrzeże i co jego bezmiary ogarnie
 I wnuknie w jego głębię, gdy zechce, i marnie
 Przenigdy nie umiera, tylko żyje dalej,
 Choć jego się powłoka na popiół przepali.
 Nie mówię też o sercu, które umie pono
 Uczciwie i zgrzybiałe roznamiętniać łono,
 Bo przecież i ja czasem, aczkolwiek ukradkiem,
 Obejrzę się dziś jeszcze za szumiącym szmatkiem —
 Ba! jakżesz może szumieć sukienka tak krótka,
 Że sięga nie po łydki, lecz niemal po udka,
 A przytem tak obcisła, że, mój Panie drogi,
 Gotowe się i starym jeszcze zatrząść nogi!...
 Nie! O tem mówię sercu, o tym naczyń kłębie,
 Gdzie pono krew ci krzepnie, jeżeli na zębie
 Położysz jakiś kasek, albo też jeżeli
 Płyn jakiś do spragnionej przelejesz gardzieli,
 Co, mówią, jest przeciwny — djecie!...

Niestety,

Ażeby się dowiedzieć o prawach djety
I jaki się też koniec śmiałkowi przydarzy
Jeżeli je podepce, pcham się do lekarzy,
A raczej mnie popchnięto z wielkiej troskliwości.
„Więc jakżesz“, tak się pytam, „trzeba żyć najprościej,
Ażeby się do Pańskiej zastosować woli?
Ogromnie lubię zupę, z grochu czy fasoli,
Choć trudno dziś podobne specjały dostać —“
„Niech Pan Bóg Pana broni! Chcesz by twoja postać
Jak grzyb rośla japoński? Nigdy nie dopuszczę,
Ażeby pańskie serce rozlało się w tuszcze!
Czy Panu nie wiadomo, jak strasznie wydyma
To wszystko i że trzeba mieć serce olbrzyma,
Ażeby wytrzymało te gazów napory,
A nie jakiś kociołek, jakiś narząd chory
W podeszłe dziś już lata wchodzącego człeczka!
Czyż Panu się wydaje, żeś jest wciąż jak beczka,
Z twardego wyciosana dębu przez Bednarza,
W niebieskim siedzącego warsztacie? Że wraża
Potęgą jakichś czerwioń ukrytych nie toczy
Jej klepek? O tak! Prędzej zobaczą twe oczy,
Niż mógłbyś się spodziewać, jak w wnętrzu tej kadzi
Skwaśnionej płyn szlachetny, albo i — to będzie
Zaiste! chyba lepiej w wszelakim już względzie —
Jak na dnie tej zmurszałej stągwi wyschnię do cna!
Śmierć, Panie, bywa słaba i śmierć bywa mocna:
Przy jednym się wysila, a drugiego męża
Dotknięciem kościanego paluszka zwycięża,
Obala w mgnieniu oka! Jednakowy skutek!
Być może, iż nie jesteś pomiot, czy podrzutek
Niechęci twego Boga, który, nierad z siebie,

Iż dzieło nieudolne stworzył w złej potrzebie,
Swej bladej wysłannicze każe pójść odrazu,
Ażeby w proch je starła, nie jakiegos glazu
Twardego uderzeniem, bo tego nie warte,
A tylko rozkruszyła je w palcach, jak kartę
Książczyny już gnijącej, gdzie walczą o lepsze
Zły papier z lichą treścią... Tu może odeprze
Zapędy jej przedwczesne, jeżeli się ona
Do pleców twych zabierze, wcale nieproszona,
A on, jeżeli zechce pobawić się nieco
Twem życiem, zaś to życie — o gasnąca świeco!...
Podoba ci się jeszcze. Choć trudno do końca
Wytrzymać pod blaskami płomiennego słońca,
A nie móc sięgać po nie! Do czego to wiedzie?
Do tego, że człek, widząc przy dobrym obiedzie
Bogatych swoich bliźnich zawiści im chleba
I klnie, że tak, wbrew prawu, skrzywdziły go nieba!
Być może, iż w twych czynów grzebiąc foljale
I jakiś w nim znalazłszy defekt, jakieś „ale“
(Tembardziej, że i jego wygląd od zewnątrz,
Pergamin wszelkie błędy na swej skórze spiętrza:
Podarty, pomarszczony już on się nie złoci
Starością swoją piękną, jest jakby w wilgoci,
Trzymały go bezbożne jakieś ręce, w lochu,
Gdzie nawet stal najtwardsza rdzewieje potrochu) —
Być może, iż ten wielki czytelnik, wybredny,
Przywykły do czytania w własnej księdze, jednej
Wieczyście nieskalanej, w niecierpliwej chuci
Twojego w piec szpargału odrazu nie rzuci!
Nie! Może się uśmiechnie i z swą miłą, rzadką
Pobłażliwością pańską założy zakładką
To miejsce mało warte. Może mu się zechce

Raz jeszcze wziąć do ręki — próżność pana lechce,
Nieprawda? bo pan myślisz, że i w Twojej jest księdze
Coś przecie, co początek w Bożej ma potędze! —
A może czekać będzie, aż ku jego stronie
Ty sam swoje zgrzybiałe rączysz podnieść dłonie
I błagać, by położył kres Twojej podróży,
Bo widać, iż krok każdy już cię dosyć nuży:
Wędrując nawet w słońcu, nie w mgle i na wietrze,
Przystawać już na pierwszym musisz kilometrze"...
„Co, Panie?... A no prawda!... Jeno mi się zdaje,
Że Pan jakieś nieziemskie porzuciłeś kraje,
By stanąć dziś przede mną jak groźne widziadło,
A może wielce miłe, które mu przypadło
Przypomnąć człowiekowi, że — poza djetą
Jest jeszcze coś, co wabi uroczą podnietą —
Jak kogo — lub przestraczem nasze serce ściska
Na myśl o niepewności tamtego schroniska
Choć dla mnie ono pewne..."

Ale o tem potem.

Niech ptak się zastanawia nad swoim odlotem,
Jeżeli tylko umie i niechaj żałuje,
Że choć go ci wojenni nie wygnali zbóje
Z uwitych gniazd na strzechach, ocalałych jeszcze
W te czasy krwawej burzy, gdy ogniste deszcze
Padają i padają bez końca, to one
Bociany nasze lube, pędzą utęsknione
Nad inne, wielkie wody... Nie czują uniesień,
Którymi do letniska przykuwa nas wrzesień,
Tak piękny, że powinien trwać po wszystkie wieki
I wzięć tu stworzenia i w kraj ich daleki
Nie puszczać bez potrzeby! Zresztą — — —

Panie słodki,

Jeżeli człowiek słyszy tym podobne zwrotki
I sam je sobie śpiewa aż mu wiedną uszy,
A śpiewa, bo go nagli jakiś przymus w duszy
To trudno jest wymagać — powód oczywisty
Ażeby do przyjaciół śmieszne pisał listy.
Tem bardziej też opuszcza wszelką cię oskoma,
Gdy widzisz, że dziś każda rzecz straszliwie chroma.
Me „Fountain Pen“ zepsute, a dzisiaj już dzieckiem
Nie jestem, bym miał pisać piórem staroświeckiem.
Ołówek mi się łamie, kiepski jest, nie dziwy,
Zaś wciąż go temperować, na tom za leniwy.
Papieru także szkoda, drogi jest, wyjść może
Przed czasem, potrzebniejszy w jakiejś innej porze,
Naprzykład na testament — ... Mógłbym posłać kogo,
Bo jeszcze z marnym groszem nie bywa tak srogo,
Choć człowiek się z paskarstwem nie pora. Atoli
W tych czasach stałość zasad moich nie pozwoli,
Ażebym własnych bliźnich przemieniał na sługi.
Samemu zaś iść trudno: Kilometr mam długi
Do sklepu najbliższego... Kilometr?... Do diabła!
Czyż we mnie już na zawsze stanowczość osłabła,
Że w jednym wciąż się kółku obracam?...

Ot, wczora

Czy kiedyś, już nie pomnę, moja pamięć chora
Nie umie już wymierzać przedziału pomiędzy
Dniem jednym a dniem drugim — co więcej! w swej nędzy
Nie zdolna jest rozróżnić dnia od ciemnej nocy,
Tem bardziej, że w przestrzeniach, do których sierocy
Rwie duch się — czy sierocy i czy on też rwie się?
Jest ciągłość nieprzerwana dni, co o swym kresie
Nie mają świadomości one ni potęgę —

Są chyba potęgami, — te górne okęgi
 Dzierzące za swą własność... a więc kiedyś siedzę
 Przed domem, czy też w polu, ławkę, czy też miedzę
 Czy hurtę, czy pień jakiś wzięwszy za siedzisko,
 I patrzę w dal — przed siebie... O, jakże są blisko,
 Jak blisko są te góry, te góry ode mnie!
 A przecież czy tęsknota gna mnie nadaremnie
 W ich wnętrze? Czy już nigdy cielesnymi kroki
 Nie będę mógł się wspinać na ten zwał wysoki
 Kamiennych, groźnych szczytów, na których duch Boży —
 Przedziwne z mgieł i blasków widowiska tworzy?
 A gdzie i ja, duch również, lecz i każdej bryły
 Skalistej brat rodzony, tworzyłem, by żyły,
 Ażeby się ruszały te barwy i dźwięki,
 Te kształty mojej pieśni, z pod mej wyszłe ręki!
 Czyż nigdy, ach! czyż nigdy cielesnymi oczu
 Nie spocznie ten mój podziw na tafli przeźroczej
 Tych jezior, co są niby oczami Boskimi,
 Pełnemi nieodgadłych tajemnic dla ziemi?
 Czyż nigdy już w ich cichem nie ujrzę zwierzciśle.
 Tych śnieżnych, lśnistych szczytów, w ciemne strojnych jedge,
 Czy smreki, czy też limby, szczytów, co szczytami
 Bynajmniej przecież nie są... Może są?... Nie zmami
 Już nigdy mnie to słońce w ich bezdennej głębi,
 Co przecież słońcem nie jest, albowiem cię ziębi,
 Gdy dłoń zanurzysz po nie... A może — któż zgadnie? —
 Jest szczerą prawdą słońca, zaś to w górze, zdradnie
 Nad tobą uśmiechnięte, jest swym własnym kłamem,
 Jakkolwiek rozelśnieniem płonie takim samem?
 Czyż nigdy onej gładnej, czy też leśnej głuszy
 Nie będą mogły słyszeć cielesne me uszy?
 Tych wzdychań, tych pojęków, tych poszeptów boru

I siklaw, wypełniaczy pustego przestworu,
 I głazów, zsuwających się po ścianach skały,
 Że na to wszystko człowiek staje skamieniały,
 Albowiem widzi nagle nad przepaścią siebie
 I innych sobie równych, marzących o źlebie,
 Bezdennym, niedosięglym, tak, jak on dziś marzy
 I marzył do niedawna tak silnie, iż kpiarzy
 Przymuszał najweselszych, ażeby uznali
 Powagę tego świata, który wyszedł z fali
 Tych wierchów, kołysanych podmuchem tajemnic
 I zamknął się wśród dziwnych jasności i ciemnic
 Żywotnej jego pieśni... A on sam, w komórce
 Ziemskiego swego bytu widząc nagle twórcę,
 Tak wzbił się w swej radości, iż ta jego pycha
 Groziła mu strąceniem... Dziś on tylko wzdycha
 I, mówię, niemal płacze i całkiem wyraźnie
 Powiedzieć sobie musi: Zmilknij, dumny błaznie!
 W zamczyskach tych odwiecznych nie doznasz wesela,
 Albowiem dziś cię od nich na zawsze oddziela —
 Kilometr!...

Przed mym domem, u rowu krawędzi,
 Przy drodze, którą widzę, tłum dzieciaków pędzi
 Tak chyżo, tak wesoło, aż z pod nóg się kurzy,
 Jest głazik ociosany, nieznaczny, nieduży.
 Nieduży? O, tak mały, że śród kępki trawy
 Zaledwie się wychyla ten słupek szarawy.
 Częstokroć mam ochotę, zwłaszcza kiedy mierzchnie,
 Lub kiedy słońce wschodzi, splunąć na powierzchnię,
 Co tak ją kamieniarskie wygładziło dłuto,
 Ażeby na niej liczby śmiertelne wykuto
 I czarną pomazano je mazią — okrutnie
 Kilonetrowe cyfry!... Lecz wnet sobie utnę

Kuranta, wnet zagwiżdżę: Po co mścić się mamy
Nad czemś, co w krajobrazie nie stanowi plamy
Szkodliwej, ani dzieciom nie zawadza w drodze!
A zresztą ja sam jeszcze jako tako chodzę
Do źródła, do potoku, pocieszon nadzieją,
Że przecież są silniejsze głązy, a wietrzeją!...
I wzrok zatapiam w wodzie, co się sączy rowem,
Lub w trawie, albo w jakimś kwieciu liljowem,
Czy żółtem, u szarego błyszczącym przydroża.
Spoglądam, jak się puszy skapiutki łan zboża,
Co tutaj, choć tak późno, zaledwie dojrzewa,
Gdy tam poza, górami, od ziarn już się plewa
Odlacza w dniach omłotu... I całkiem spokojny,
Powiadam: Jak to dobrze, że w tym czasie wojny
Nauczył się nasz góral uprawiać i żyto!
Coś z tego może będzie; za takie go myto
Nikt chyba nie obije... Albo też zachwyca
Zeissowska mnie lorneta, więc ją do księżycy
Kieruję i już całkiem bratam się z pustoszą,
O której hipotezy dziwne rzeczy głoszą,
Lub idę sobie do pszczół, które tak precudnie
U swych się roją ulów w wrześnie południe.
Lecz o tem innym razem i komu innemu,
A może jakiejś innej, bo ja do Eremu
Mam czas, Panie — tego...

A! Panie Ludwiku!

Czy myślisz, żem o swoim zapomniał już bziku?
Że Igel, Grund, czy Hölzel, czy (widzę ponury
Już wyraz w Pańskiej twarzy) kardynał de Bury —
Tak pisze się, a jak się wymawia, to przecie
Drobnostka na tym pełnym większych przemian świecie!
Przestali się już mięszać do mych spraw istoty

Doczesnej, czy też wiecznej?... O, nie! Panie złoty!
Częstokroć sobie myślę, jak to miło będzie,
Gdy śnieg na łokieć gruby spocznie na mej grzędzie,
Gdy dawno z mych jesionów wszystkie liście spadły,
A cień się pod mą ścianą zakradnie poblady,
Nie wiedzieć skąd przybyły i jakiej postaci
Będący wydłużeniem, czy skrótem — opłaci
Doczekać się tej chwili —: jak to będzie miło
W ogrzanym pokoiku, gdzie się może śniło
O różnych innych cudach, nie spuszczać swych powiek
Z szeregu cudnych książek, żyjących jak człowiek.
Powłócząc zlekka nogą, przecież nie w szlafroku,
Nie w żadnych też papuciach, jeno z szkiełkiem w oku —
W tem jednym, bo to drugie... — w grzeczniutkim surducie,
W trzewikach z koziej skórki, urągając bucie
Dzisiejszych jaśnie panów od szydła i igły,
Wałęsać się wśród pól, zginać grzbiecik śmigły.
Choć stary, ku tym dolnym, gdzie tomiska duże
Umieją tak się chełpić, jak człowiek; ku górze
Prostować się i prężyć, gdzie prawdziwe cacka
Jak gdyby lękiem płoną, by ich świętokradzka
Nie tknęła czasem ręką!... Łaskawie na moją,
Spokojnie na swych półkach świecą się i stoja,
Czekając, kiedy znowu je zdejmę i kiedy
Pogłaszczę je po grzbiecie, lśnistszym niż grzbiet Ledy,
Czy Fryny, czy złocistej miękkiej Kallipigi,
I kiedy je otworzę, oby nie na migi,
Lecz żywym do mnie głosem przemówić zdołały,
By mogły się poszczycić, jaki to wspaniały
Ich ojcem cudotwórcą!... Albo są już rade,
I one i te duchy, których o! gromadę
Naokół siebie widzę, tych książek rodzice,

Jeżeli nawet zechcę popatrzeć w ich lice
Zewnętrzne, by zapobiec najdrobniejszej skazce,
Co w ludzkim barbarzyństwie i w czasie niełasce
Ma grzeszny swój początek... Ej, Panie!...

Lecz widzę,
Że jestem z nudziarzami w zaprzysięgłej lidze,
Bo tak się rozpisuję, jakby list człowieczy
Miał niby coś wspólnego z treścią wielkich rzeczy,
Zamkniętych w szumie rzeki, co właśnie przede mną,
Nie wiedzieć gdzie, posyła swą mowę tajemną.
Lub jakby list ten marny miał być dziś czemś jednym
Z spokojem tych jesionów, albo też ze sednem
Promieni tego słońca Bożego, co właśnie,
Okręgi całe złocąc, za górami gaśnie...

DEDYKACJA „MARCHOŁTA“

(Akrostych)

Jest Marchołt, racz go przyjąć i bądź mu łaskawy.
Ów dawny, który słynne prowadził rozprawy
Z królewskim Salomonem, panem ponad pany,
Eliksir życia, z garnka glinianego brany,
Filozoficznie w złotą przelewając czasę,
On nie ma spółki z moim. Wkradł się w me poddasze
W istocie tylko poto, by swej rubaszności
I nazwy swej zapachem drażnić nozdrza gości.

*

Wybrawszy sobie chwilę, mniej dla Ciebie drogą —
Ej! śmiałość ma zbyt wielka! Szastać czasem mogą

Ypsylon, czy też Ygrek, lecz nie ten co w własną
Sam na sam wchodząc duszę, gdzie słońca nie gasną,
Sobole ukazuje i Panny w ich blasku,
Edenów polskich cuda wodzi na swym pasku,
Namiętnie kocha radość i wszystko, co tylko
Hulałoby niebiańsko — o ty rzadka chwilko! —
Okolo tej radości, cnem dyszącej zdrowiem...
Fiu! fiu! Prawdziwy szlachciec jest z ciebie, albowiem,
Folgując swej dobroci, umiesz szlachetnemi
Oczyrna w świat spoglądać, a zło na tej ziemi
Widzący, nie morałem kopiesz, lecz uśmiechem
Ironji przewytwornej pastwisz się nad grzechem...

*

Weź przecież do rąk rzecz mą: mówiąc między nami,
Haniebnie marna nie jest, chociaż marnościami,
Okrutnie lubiącemi tężyzny pozorem
Łaskotać marną ciżbę w ducha miejscu chorem,
Do syta się zajmuje... Ale umęczony
Znikomych walk mitręgą ma w tej księdze strony,
Idyllę zwiastujące w rozkosznej dolinie
Eremu przy klarownem, nieśmiertelnem winie.

*

Jest szum i wrzask i łoskot, klątwy i kazania,
A przytem próba szydu. Jak on się nie wzbrania
Na światy płuć najdroższe? Najdroższe? dla człeka,
Któremu świat prawdziwy z przed oczu ucieka,
Albowiem człek samotnej nie pożąda ciszy,
Sąsiadki rajszych niebios, w płaszcz odzianej mniszy
Przedziwnej Tworzącieli...

już się nam też obu
Rozwarło to jej łono dziewicze... Już z globu
Oddalonego ponoć, a bliskiego przecie,
Witają nas postaci, po swe biedne dziecię
Idące...

Śmieszny Marchołat, nieprawdaż? Rupiecie
Codzienne żal mi rzucać...

Lecz, Panie Józefie.

Zbyt długom Cię zatrzymał w marchołtowskiej strefie.

LIST DO KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO

Kochany mój Kornelu! Naprzód pozdrowienie
Szłę Tobie i Twej Pani, dla której strzelisty
Mam afekt — Ty wiesz o tem — jako że jest miła
I zawsze pełna wdzięku. Proszę też ażebyś
Uściskał wspólnych druhów i trącił się z nimi
Kieliszkiem, jeśli kiedy, w jakiś smutny wieczór,
A smutków jest dziś pełno, usiądziecie razem
Przy stole, aby łatwiej zapomnąć o sprawach,
Trapiących wszelką duszę, co jeszcze jest duszą
Sposobność wnet się znajdzie, albowiem za pasem
Wiliżne mamy święto, kiedy pierwsza gwiazda
Głośnie promieniami zwiastuje godzinę
Narodzin wszystkotwórczych, ponoć to jest źródło
Radości, a przynajmniej takim być powinno,
Boć taką nam tradycję przekazały wieki,
Ciał naszych i dusz naszych czcigodni rodzice.
Tradycję?... Niech się tego wyrazu nie lęka

Nikt z ludzi, którzy mają dotychczas świadomość,
Że przecież nie wypadli sroce z pod ogona
I że się człowiekowi nie godzi uciekać
Przed głaźnym drogowskazem na którym czerwony
Wieszają szmat, by stał się postrachem dla byków.

* * *

Pytałeś się kiedyś, dla czego tak dawno
Nie rozwarł swego wnętrza, aby choć najmniejszym
Pokazać rozedrzeniem, że nie wszystko jeszcze
Zamarło w niem, co ongi bywało dowodem
Takiego czy innego żywota... chociażby
Powiedział ktoś, że wielka przebija nieskromność
W tych właśnie moich słowach, nie będę zuchwała,
Gdy wyznam, że ja również jestem pełen żalu
Z przyczyny, iż nie mogę wydobyć ze siebie
Widziadła, mającego charakter stuleci.
Stuleci? To pytanie, które może wzbudzić
Wątpliwość, graniczącą z zarzutami pychy,
A jednak, — i tu pragnę przytoczyć choć kilka
Obrazów, tak codziennych, tak zwykłych, że sam się
Nieomal wstydzę tego, chociaż mnie ratuje
Powszedniość, która lubi towarzyszyć listom,
Więc mówię: kto ma rozum i kto patrzeć umie
Jak wiatr marcowy tępe kędzierzawi wody,
Ponad któremi jurne kołyszą się czajki
Po łąkach, kielkujących zielonością trawy,
Jak pod okopy domów znosi grudki błota
Jaskółka szybko skrzydła, czując niecierpliwość
Zniesienia skromnych jajek, by się z nich wyklęła
Jej przyszłość, życiodajna w dalszych lat obiegu —
Kto choćby się raz jeden zastanawiał nad tem,

Jak najleniwszy ślimak wystawia swe różki
 I chroni swego bytu, z którego ma powstać
 Byt dalszy — kto raz jeden widział, jak ogromny
 Krąg słońca za jesienne kryje się ugory
 Czerwoność zostawiając, szeroko rozlana
 Po niebie, zmierzchającem od góry, czerwoność
 Niesamowitej juchy olbrzymia, co ginie,
 Albowiem ginać musi — kto patrzył, a patrzy
 Czął każdy, choć się zdaje nie patrzeć, jak świt się
 Rumienić rozpoczyna i jak się z kąpieli
 Rumieńców tych wychyla to samo znów słońce,
 Radosne, pełne żaru, co ma się do granic
 Ostatnich wzmóc w południe, aby zapanować
 Nad światem tą cudowną falą roześmiania,
 Tworzącą nieustannie łańcuch nowych światów —
 Kto wszystko to ma w głowie i duszy, że innych
 Nie będę snuł przykładów, ten łatwo odgadnie,
 Że właśnie to jest twórczość wielkich czy też małych
 Rozmiarów (choć wiadoma rzecz, niema różnicy
 Pomiędzy tem, co nikłe, a tem, co potężne)
 I że, ta rzeczywista, ta arcy-pobożna
 Poezja, pełna Boga, zaszczerpiona również
 I w ludzką naszą duszę ma piętno stuleci
 Tworzących z siebie wieczność...

* * *

I oto jakiego
 Pozbyłem się dziś skarbu? O tak! tysiąc męczarni
 Poniósłbym z cierliwością manjaka, co palec
 Co palec serdeczny kładzie w ogień, by dzięki szaleńczej
 Ofierze stać się godnym ponownych zwiastowań
 Czy, raczej ich spełnienia: radosnych narodzin,

Usuwających smutek w wieczór wigilijny...
 O jakżeż bez wytechnienia biegłbym w pocie czoła
 W nieznane gdzieś krainy, aby w czas południa
 Z odkrytą stanąć głową w tropikalnem słońcu
 I chłonać jego żary do śmierci... Niestety,
 Południe tylko jedno zjawia się na dobę,
 A moja wszakże doba już mija... Bez śladu?
 I zali też z nią razem nie śpieszy wspomnienie
 Upiora, który ongi był mi widmem Łaski
 I ręką swej przemocy tak mnie gwałcił ku ziemi
 I wznosił ponad ziemię, że w tem podniesieniu
 Traciłem — na swą krzywdę — jej kształt i zawartość!
 Lecz cóż mi treść i forma wszelka, gdy oto
 Dziś właśnie jaknajżywiej odczuwam, iż męka
 I wszystko to wyrwanie razem z korzeniami
 Ziół z grządek czy zagonów Ogrodniczki-Duszy
 To dzieło rąk Upiora, strasznego Widma,
 Com tak je chował w sobie, żem go nigdy nie chciał
 Nazywać po imieniu, z zazdrości, by inni
 Przypadkiem nie odkryli tego skarbu we mnie
 I na swoją wyłączną nie zabrali własność
 Z słowami chępliwymi, jak pękate beczki,
 Co żadnej już nie mają zawartości w sobie,
 Będącej niegdyś ogniem, świętym, żywym ogniem...
 Nareszcie się zakończył nasz Adwent, tygodni
 Straszliwych, a tak pełnych tajnego wesela...
 Zwycięskich oczekiwań... przyszła... przyszła... Polska...
 Zaledwie wyksztusiłem to imię, co do cna
 Wyssało szpik mi z kości...

* * *

Rozpocząłem z rana

Ten list, a oto kończę go w wieczór. Nie miły,
Bom weale dziś nie widział południa. Śnieg pada,
Jest mglisto i pośepnie. Zresztą jakie prawo
Do słońca ma ten człowiek, który nie od jednej
Czy dwóch utracił godzin czas swego własnego
Południa i chylęmi pośpiesza krokami
Ku wielkiej ale zimnej czerwieni zachodu. —
To chwila uroczysta i takby zapewne
Wszelki czuł ją człowiek, znający swą godność,
Co do mnie, to znać jestem bezecny. Zda mi się,
Że nagle z tego kąta wychylił się jakiś
Złośliwy Szatan-Figlarz i, aby uragać
Wieczności i jej źródłom, stanął za mem krzesłem,
Odchylił nagle kołnierz mojego surduta
I wielką wesz mi wsadził za koszulę. Ramię
Chcę podnieść, by ją w palce pochwycić i ubić,
Daremnie, Szatan-Drwiciel obezwładnił członki
Chcę otrzeć się o ścianę i zgnieść ją wysiłkiem
Tych pleców, co niejedno udźwignęły w życiu
I ciężar niewygodny straciły niejedną,
Naprawdę — Bolesnego doznałem wrażenia
Że nie mam oparcia już, że jestem zawieszony
W przestrzeni... Cóż to będzie?! Co będzie?! Co będzie?!

* * *

Ot głupstwo... Wszystko jedno!... Żegnam Cię i resztę
Przyjaciół, którym życzę, by im żaden owad
Tak czelnie nie dogryzał, jako mnie... Najlepiej
Zapijem całą sprawę, jeżeli się jeszcze
Spotkamy na tym bruczku warszawskim. A myślę
Że chyba mnie ta miła nie ominie chwila.

DO MOJEJ MIŁEJ, DROGIEJ PANI M.

(O wszystkim i o niczem)

O pani moja miła, moja pani droga
Rzecz dziwna: chcesz ode mnie, ażeby na Boga,
Napisał Ci, co słyhać w naszym Zakopanem,
Do tego jeszcze wierszem — Więc zbudzon nad ranem,
Zabieram swą deszczulkę i zakładam na nią
Papieru szmat, ażeby zadowolić Panią,
I twardym dość ołówkiem, leżąc na pościeli —
Jak zwykle „komponuję rzeczy od niedzieli“ —
Te kilka nieudalnych kreślę wiadomości:
Dlaczego nieudalnych? Naprzód mało gości
Ściągnęła nam „od Lachów“ ta pora zimowa,
A jeśli są z Warszawy, Krakowa czy Lwowa,
To trudno już — przeważnie w myśli mam Warszawę —
Dać lackie im nazwiska: nosy mają prawe,
Niesfałszowane całkiem, na kwintę spuszczone,
Patrzące nie ku szczytom, jeno w dolną stronę,
Nie, iżby jaki smutek miały właścicielki
Przepięknych pantalonów — „Postęp“ to jest wielki,
Że dzisiaj są niezbędne te modne porteczki,
Jeżeli tylko zechcą brać je na wycieczki
Do Kuźnic, lub na „Gierlach żydowski“, lub, Pani.
Obficie — (znaczy płacać obficie) — ze sani,
Jak skrzydła ikarowe lotnych, korzystając —
Nie bywa od nich szybszy nawet i sam zając —
Żywczańską frunąc drogą pod same Strążyska,
Gdzie ponoć gdzieś u stopni Giewontowych błyska
Jakowaś mroźna woda, siklawicą zwana.
O fe! paskudna nazwa...

Marząca od rana —
Nie mówię już o nocy, bo trudno jest przecie
O nocy coś powiedzieć, jeśli takie dziecię,
Panienka taka luba zażywa spokoju
Człowieka pocziwego, ni trudu ni znoju
Dotychczas nie znająca (człkiem, choć się szasta
Po świecie niepotrzebnie, bywa i niewiasta) —
Ty, pani moja miła, Ty wiesz dobrze o tem,
Bo któżby wątpił w prawdę, co szczerem jest złotem,
Że kiedyś i Ty byłaś panienką, z tęsknicy
Zaledwie się mogącą utrzymać w świetlicy,
A jeśli-ć sił nie zbrakło, to li z bożej łaski,
Co broni nas od czarta: a zatem do Trzaski
Ucieka taka panna, paniuchna, panienka
Ażeby też zobaczyć, jak herbatka cienka
Smakuje „literatom“. Zacni literaci,
Przezacni artystowie. Każdy cechę płaci
Za siebie, a czasami, gdy tak się wydarzy,
I za swego druha... Od wszelkich mocarzy
Mocniejsi i bogatsi od wszelkich bogaczy,
Druhowie moi drodzy! Nie wiem, co to znaczy,
Że tak was rad wspominam. Ale myślę sobie:
Wzajemność za wzajemność — że gdy spocznę w grobie —
A przecież kiedyś spocznę — wspomnijcie też o mnie
I wy; kiedy tak legnę, szczęśliwy ogromnie,
Że wy też pomyślicie, wolne mając chwile,
Że w takiej oto słodkiej spoczywam mogile
W ogródku swej „Harendy“. Ogródek uroczy,
Gdzie kilka tylko olszyn najbystrzejsze oczy
Zobaczyć dzisiaj mogą, a zato nad niemi
Wspaniałe płoną wierchy, gdy słońce się z ziemi
Wrywa, ku południu mknąc i wieczorowi,

Co znów z głębin ziemi jego blaski łowi.
Przepraszam za dywersję... Lecz taką naturę
Pisarską już mi dały potęgi ponure,
A może jaśniejące? Któż to wie?...

Nikt nie wie,
Czy mając zgnić od miecza, nie zgnieje na drzewie?
Czy ktoś go nie policzy w zanosze, lecz w lotry?
Przebaczcie mi druhowie, Tymonki i Piotry,
Kochane moje Władki, Kaziowie, Kornele,
Karole dźwiękosłynne, mili przyjaciele
I sądzę, że i wierni panowie Augusty
I inni, którym worek napelnia się pusty.
Wszak całe Zakopane z radości się tarza,
Że Tymon się już z miną pożegnał zbrodniarza,
Bo w miejsce swojej własnej nie chce już kieszeni
Mieć cudzej: tak mu w głowie strasznie się zieleni,
Że gdzieś tam, w samej pono Warszawie bez skazy
Udało mu się sprzedać aż cztery obrazy.
I oto się przechadza pełen wielkiej pychy,
Że może mu się uda dwa wynająć strychy,
Urządzić se pracownię, przystroić w kobierce,
Nabyte u Pollaka, boć pocziwe serce
Nie może nawet marzyć, niech jak chce się czuli,
By kicz zamienić w kilim u Pani Urszuli,
Co, aby nas pocieszyć rada „Kujawiaka“
Zagrać nam po swojemu, znaczy: pięknie... Taka
Jest treść zakopiańskiego żywota... O Boże,
A toć ja zapomniałem, co to sztuka może:
Pan Karol sam się chwali, że po swym koncercie,
Zdobywszy milijardy, rozedrże na ćwiercie
Swe szmaty z okrutnego żalu po tej dziurze —
O Zakopanem myślę uroczem, gdzie burze

I wiatry zbyt się pyszną tej zimy — i w kręgi
 Ulotni się rozległe: natchnionej potęgi
 Skrzydłami uniesiony pomknij do Paryża,
 Lub może do Londynu nadzieja go chyża
 Poniesie, zanim jeszcze los mu każe twardy
 Na skromną kolacyjkę wydać miliardy —
 Bo takie dziś „ekspensa“ mordują człowieka...
 O, chciałby precz stąd uciec, przecież nie ucieka,
 Tak miło mu w tym arcyczarującym kątku.
 I innym też jest miło... Kornelcio powiada,
 Że codzień go Fortuna obejmuje rada,
 Że chociaż jest żeńskiego rodzaju, (to znaczy
 Nie Kornel, lecz Fortuna), to jednak prostaczy
 Zmysł jakiejś lafiryndy, by swego kochanka
 Chcieć zdradzić, jest jej obcy... Nie jest to przesłanka,
 Gdy powiem, że z za karku nigdy mu nie znika
 I szepce, co ma wygrać, dwójkę tref czy pika?
 Ot, szczęści mu się: kilka dni temu my oba,
 Pan Kornel i ta moja skromniutka osoba,
 Do skóryśmy złupili gospodarstwa dwoje
 Przemitych, tak przemitych, aż się wyznać boję,
 Bo zamiast ubolewać nad swym ciężkim losem,
 Orzekli, że potrząsną niebawem swym trzosem
 I sutą nam postawią kolację, z kielichem
 Dobrego śnać burgunda, w towarzystwie cichem,
 Hałasu nie lubiącem przy winie... O lube
 Wy czasy, że człek chyba na burgunda zgubę
 W żołądku arcystrawnym, to znaczy w żołądku,
 Co strawić może wielość i jakość... początku
 Do końca nie dostroisz w tym podartym rymie.
 Ale to wszystko jedno. Pies ogon, a wymię
 Ma krowa: ciągnij jedno, drugie dój, zaś z mojej

Nikt głowy nie wyciągnie, ani nie wydoi
 Z mej duszy nic lepszego. Taka pustka we mnie,
 Niech Kornel uzupełni co trzeba. Daremnie
 Współzawodniczyć z jego dowcipem człękowi,
 Co choćby chciał, dowcipu z siebie nie wyłowi.
 To jedno tylko dodam: Niechże słońce świeci,
 Ażeby w niem się grzały zakopiańskie dzieci.

LIST DO Z. DĘBICKIEGO

(„Avanti przy „Chianti“)

Motto „Człowiek rozumny gdy błądzi,
 brzydko jest wielce, chyba że
 zabłądzi do szynku“.

Ajschylosa Dzieje (nie Grzechu),
 lecz Orestesa a może Prometeusza lub
 Persów.

„Avanti przy „Chianti!“ Owszem, dobra nasza.
 Toskana na swój nektar przedziwny zaprasza,
 Czerwony, jako rubin. Ale powiem szczerze,
 Iż nieźle iść też naprzód ku ciemnej „Barberze“,
 Na Corso, przy Piazza del Popolo, a potem
 Popłukać sobie gardło „Orvietto“ złotem,
 Lub krewnem do wyboru, „Montepulcianem“,
 Tem „Est-Est-Est“ sławetnem, po wiek wieków znanem
 Od czasu, kiedy Fugger, kanonik, mąż boży
 Przykładem swoim poczet cnych pijaków mnoży,
 Gotowych bohaterską ponieść śmierć z odrazy
 Do wody! Są też ludzie — w wodzie tylko płazy
 Gustują, psy i żaby i inne bydlęta —
 Co, mówię wam, nie lubią, by stała nietknięta
 „Fraskackim“ napełniona napojem szklaneczka

W przybytku Tre ladroni. Przy beczce tu beczka;
 „Asciutto“ płynie z jednej, a z drugiej „pastoso“.
 Nie wiedzieć, co wybierać. Tamto ci, o zgrozo!
 Rozkoszną wlewa cierpkość w pożądliwe wnętrze
 I tak ci je wysusza, od piekła gorętsze,
 Że muszę, chcąc czy nie chcąc, zwilżyć je słodyczą
 „Miodnego“. Skosztowawszy — niechże sobie krzyczą
 Wróblewski, Lutosławski i Szymański Adam —,
 Już wargi nie oderwiesz i powiesz: „Tu siadam
 I z miejsca się nie ruszę!“ Ruszysz się jedynie,
 Ażeby się przekonać, czy trunek, co słynie
 U padre Abrahamo na Cenci lub w starem
 Augusty Columbarium, równym działa czarem.
 Po drodze, oczywiście, wstąpisz na Colonnę,
 W cień Marka Aurelego, by poznać, jak wonne
 Ukrywa się lekarstwo na smutek w „Genzano“.
 Przekonasz się niebawem, że wieczór i rano
 To jedno, więc pobiegiesz prosto pod Panteon.
 Godziwie tu uraczon, hukniesz: „Nie! to nie on!
 Innego trza mi płynąć“ i skoczysz, bogaty
 W trawiące doświadczenie, by „Grottaferraty“
 Skosztować na Zatybrzu, koło Matki Boskiej,
 Lub — wszystkie drogi wiodą do Rzymu, a troski
 Bywają, jako gąbka, dużo chłoną cieczy —
 Pod Willą, gdzie Mickiewicz ciepło i do rzeczy
 Rosyjskiej prawil książnie, jako że był młody
 I wstręt niezwyczęzony miał ponoć do wody.
 Kpem byłbyś, miły bracie, gdybyś, krocząc dalej,
 Nie zboczył choć na kroplę płomiennej „Marsali“
 U kogo jest najlepsza? Dobrać ona wszędzie!
 Lecz jeśliś raz w niebiańskim znalazł się rozpędzie,
 To możesz się i wrócić: ja, gdy mnie uczucie

Rozparło, szedłem ulgi szukać na Margucie
 A także na Vittorii — mam juści na myśli
 Zaułki, z których zawsze pocieszeni wyśli
 Pragnący... Dwa, trzy soldy szklanka. Na dodatek
 Przecudna fioraia ubierze cię w kwiatek,
 Niewinny, naturalnie. Z kwiatkiem w butonierce
 Rozwagać sobie będziesz: „Dokąd mnie to serce
 Powiedzie?“ i w te tropy pójdziesz, w którą stronę
 Zapragniesz, bowiem tu wszędzie wino jest nieplone.
 Kochany Dębikowic! Wiem, żeś człowiek prawy
 I ścieżek Pańskich świadom. Przetoć bez obawy
 Poradzę: Chodź, jak możesz, lecz chodź zawsze drogą,
 Gdzie oczy twe omglone rozjaśnić się mogą
 Przynętą, namazaną węgielkiem na ścianie:
 Cucina tu cattiva, wino, mościpanie,
 Pessimo!... Ha! Na opak wszystko się tu plecie,
 Bo to, co zwą najgorszem, jest najlepszem w świecie!
 Niech razem z Tobą, idzie Imię pan Krzywoszewski
 I drugi także Stefan, Popowski, Psiakrewski
 Sprawicie sobie balik, jeśli waszej grdyki
 Nadmierna nie sznuruje cnotliwość... Choć smyki
 Z „Ethosu“ jęcząc będą, w tej szczytnej podróży
 Niech własna wam lub cudza zawsze żona służy!
 Niech, pijąc równie gładko, rozkoszną, bez ceny
 „Chrystusa Łzę“ gorącą lub „Łzę Magdaleny“,
 Otuchy wam dodaje, gdy się zdarzy kiedy,
 Że rozpacz was ogarnie, iż więcej u Zeddy
 Nie można lać w żołądka nieco szczupłą fasę...
 O, jak się rozradują moje oczy łase
 (Ha! Trudno! dziś już tylko zostały mi oczy!)
 Na widok, jak się słodka pani Lilli toczy
 Do Protta na „wermucik“! Jak ta, zawsze płocha

Niewiasta, co śmie twierdzić, że mnie jeszcze kocha,
 Popelnia zdradę na mnie dla butli „Falerna“!
 O duszo ty niewierna, a przecież tak wierna!
 Przebaczam Ci, patrzący, jak zerkasz, czy z kąta
 Nie gromi Twej rozpusty groźny wzrok Reymonta!
 Wiem, łatwo go uśmierzyć: Chociaż jego „Chłopi“
 „Siwuchę“ tylko żłopia, on w „Capri“ utopi
 Mażeńską mankoliję. A że markom ufa,
 Nie będzie się już troszczył, czy wziąć się do Rouffa,
 Czy z Calvim się pokumać — i jeden i drugi
 Te same u Cassiana odda mu usługi,
 A zwłaszcza, jeśli przy nim stanie pani Bella —
 Wiadomo: piękne wino serce rozwesela —
 O, jakżeż to dopiero cudnie i wesoło,
 Gdy nad kieliszkiem w rękę białe błysnie czoło,
 Gdy z oczu przepaścistych wychyla się dusza
 Bezdenna, jako beczka z ogniem „Wezuwjusza“
 Lub „Etny“!... Ach! Widziałem te czarowne kadzie
 I chciałbym dno ich zgłębić!... Pani Bello! W zwadzie
 Wszak nigdy nie byliśmy, chociaż Malacina
 Mógł wszystkich nas pojątrzyć, dając, zamiast wina,
 Obrzydły wywar z ożyn albo też z gogodzy.
 Więc myślę, że sędziowie już pomarli srodzy,
 Że zbyt mnie nie potępia, o pani nadobna,
 Jeżeli wyznam szczerze: Wszystkieście z osobna
 Przemile, lecz najmilsze będziecie na Via
 Flaminia, (której człowiek rozsądny nie mija).
 A ponoć i kobiety miewają rozsądek —
 Tak rzekł Fujara z Mościsk i P..... z Gądek!
 Jeżeli, siadłszy razem w zacisznym ogródku,
 „Aleatico“ wonne będziecie do skutku
 Chłonęły!... Mam nadzieję, że i Lorentowicz,

Zmuszony boski Paryż zamienić na Łowicz,
 Radziejów, Osiećiny, czy raczej Warszawę,
 Nie skrewi i, szlachetną zrozumiawszy sprawę,
 Od Bramy Prenestyńskiej pośpieszy wraz z nami
 Do źródła — tam! na Monte Brianzo! Strugami
 Popłynie „Malvasia“ w tej jamie ponurej,
 A słodkiej, jeśli tylko grzech literatury,
 Śmiertelny grzech, przeklęty, to jest kieszeń pusta,
 Przestanie mścić się nadal. O, wtedy już usta
 Nie będą łykać śliny! Wtedy jedno słówko
 Uleci ponad Tatry: „Żegnaj, goryczkówko!“
 I wtedy też, w tej błogiej, w tej radosnej chwili
 Nie spytam się, kto miłszy, miła pani Lili,
 Czy miła pani Bella? Czy też miła Jana
 Lorentowicza żona, tak mało mi znana,
 Że nie wiem, które woli, „nero“ lub też „bianco“ —
 Tak, wtedy — miła wdowo! małżonko! kochanko!
 (Mam panny za baj-bardzo, kiepski to interes,
 Z dziewictwem swem na pokaz, piją tylko „Ceres“)
 Przestanę się kłopotać, zali, niż u miłej,
 Czy tej czy tamtej donny, miłej się rozłśniły
 Łagodne oczy pani, która „kocha bardziej“,
 Jeżeli tylko płynem i szklanką nie wzgardzi,
 Wpatrzona w smętne oczy imiępana Macieja,
 Co ponoć się w Syrenim grodzie wykoleja,
 Amora przenoszący nad Bacha — niestety!...
 Ach! Wtedy krzyknę głośno: „Wszystkieście kobiety
 Jednakie!“ to ma znaczyć: wszystkie najmilsze,
 Gdy pomnąc na to moje wezwanie dzisiejsze,
 Sprawicie mi choć jedną godzinkę przyjemną,
 Upiwszy się, czcigodne białogłowy, ze mną!
 Otuchę mam, że wtedy, choć stary, zwyciężę,

Bo juścić mi przeszkadzać nie będą i męże.
 Nie! Wierząc, iż się bawić nie lubią (!!!?) w kukułkę
 Nierozrwalną zawrą z cnym pijakiem spółkę
 I, wszystkie z nim męczeńskie przebywszy stacje,
 Podążą, gdzie wspomnienie męczenników żyje
 Najżywiej, do Katakumb, tak, do San Callisto!
 Pokutnych tu likierów wypiwszy na czysto
 Z pół-kopy, pójdzie dalej ten orszak pielgrzymi
 Do grobu Pawłowego, gdzie się z czuba dymi
 Pokutującym mnichom, i tu w Tre Fontane,
 Uczuwszy, że już wszystkie grzechy są zmazane,
 Nie myśląc o kochance, małżonce czy wdówce,
 Spokojnie sobie uśnie przy „eukaliptówce“.
 Lecz zanim to nastąpi, panie i panowie,
 Wypijcie nieraz jeszcze kielich za me zdrowie
 Warszawskiem tem „Chianti“. A jeśli go niema,
 „Węgrzyna“ także warto chwycić się obiema
 Rękoma i lać w gardło, pomni Kasprowicza,
 Co chciałby bardzo spojrzeć we wasze oblicza
 Chociażby i w Warszawie. Lecz że los mu wraży
 Przeszkadza, więc na księżyc wygląda i marzy
 O Rzymie, zaś, z podzięką, co mu niesie ślina,
 Z serdecznem pozdrowieniem śle wam z Poronina.

W ALBUMIE

W ramki sonetu zamykam te słowa
 (Niechaj je naksztalt powiędłego ziela,
 Które wzięliśmy z ręki przyjaciela
 Ogi, przed laty, pamięć Twa zachowa):

Nie szukaj blasku, co z mózgu wystrzela,
 Choćby się mienił, jak wstęga tęczowa!
 Wszystkiej mądrości taka jest ośnowa,
 Ażeby z serca czerpać zdrojów wesela.

Próżno się bowiem chłodny mędrzec trudzi,
 Chcąc z praw rozumu snuć szczęście dla ludzi —
 Z miłości źródła zbawienie wypływa.

Zawsze też sercu oddaj panowanie,
 Gdy w tobie rozum do walki z niem stanie,
 Gdy uszczęśliwiać chcesz i być szczęśliwa.

WIERSZ WSTĘPNY DO PRZEKŁADU „O MIŁOŚCI DO KSIĄG“ R. de Bury

Powierzam Twej dobroci, Czytelniku miły,
 książeczkę, której karty oby Ci sprawiły
 uciechę, jaka dotąd żyje w sercu mojem,
 wtargnąwszy w nie odrazu, prawdziwym przebojem.

Pisana przed wiekami na cnym pergaminie,
 przetrwała burze wieków i chyba nie zginie
 już nigdy, bo wszak nigdy nie zbraknie na ziemi
 namiętych dusz, co dłońmi nieomal drżącemi
 chwytają dzieło ducha, toną w jego treści
 i — kształcie!...

O, jak oko precudownie pieści
 ta czcionka, ta oprawy mistrzowska robota,
 dla której nie szczędzono kosztownego złota!

Te dziwne kopersztychy, te inkunabuły,
te stare drzeworyty jakież oddźwięk czuły
i swą nieudolnością znajdują u czleka,
jeżeli tylko nie jest, jak biedny kaleka,
ślepotą nawiedzony!

A jakie okęgi,
ogarniając wszechświat, wyzierają z księgi,
natchnionej słowem Boga, który się nie zżyma
Sam, w własnej Swej osobie, stawać za plecyma
schylonych pracowników i szeptać im w uszy,
jak ziarno z plew się huszczy, jak się rudę kruszy,
jak wodę się przemienia w Galilejskiej Kanie
na wino, byś rozkoszne miewał ucztowanie!

A jeśli Pan ten wielki Swe sługi niezawsze
nawiedzać chce w ich domu, wówczas, najlaskawsze
wciąż mając oko na nich, śle im swe orędzie
przez Swoich pośredników. I nieraz tak będzie,
że kiedy w ciszy nocnej siedzisz w swej izdebce,
zaduman, wśród swych książek, naraz coś zaszepecze,
coś naraz zaszeleści: piąta i dziesiąta
i setna wiewna mara z każdego się kąta
wychyli i gromadą zbliża się ku tobie.
Mężowie, którzy dawno już złożyli w grobie
swe ciało, a zaś duszę zamknęli w swem dziele
żywota arcytwórczem na wielkie wesele
człowieka i na jego ukojne zbawienie
od nędzy tej powszedniej, zjawiają się, cienie
żyjących myśli swoich, ażeby ci kołem
otoczyć i swem słowem prawić ci wesołem,
w zastępstwie swego Pana, o rzeczach, co leżą

pomiędzy krańcem niebios a ziemi rubieżą,
w ich wnętrzu i poza niem, na tajemnej drodze,
wiodącej od wieczności do wieczności.

Wodze

puściwszy swej wymowie, ten niesamowity,
a przecież tak przyjazny ci orszak, najmity
Bożego wdzięczną służbę spełniający właśnie,
na wielkie-ć wskaże ciemnie i na wielkie jaśnie
żywołów, które, duszę rozpierając czleczą,
by móc się uzewnętrznić, niszczą albo leczą
zastępy dusz siostrzanych, na śmierć prowadzone
lub życie ponad życiem! Wyjawia ci one,
te widma — i naokrag rozgłaszać ci każą,
zwróciwszy się ku tobie płomienistą twarzą,
radosną tę nowinę, że w księgach się mieszczą
największe twoje skarby. I jak przez nie wieszczą
żrenicą możesz tajnie przenikać i światu
wspaniałą wróżyć przyszłość, pełną majestatu
Bożego! I że ten jest najszczęśliwszy z ludzi,
któremu nic zapału do ksiąg nie ostudzi;
a przedsię ten, co, w własne wgłębiwszy się wnętrze,
uczuje naraz twórcze siły przenajświętsze
i, sam stworzywszy księgę, pokornie ją złoży
u stóp swojego Stwórcy, na podnóżek Boży!
Nie sędzę, byś wykreślał, Czytelniku luby,
gorliwą miłość książek ze Swojej rachuby
i do rąk brał je tylko z musu lub dla mody,
idący z pospolitym przekupniem w zawody,
lub nędznym groszorem, dla którego, zda się,
zawarta w księgach mądrość bywa li na czasie,
jeżeli kryje w sobie oręż, by nim można

zdobywać kupy złota, jawnie czy zostrożna...
A gdyby prawdą było, żeś jest obojętny
na urok ksiąg, że z serca gorącemi tętny
nie idzie miłość ku nim, to, mówię Ci z góry,
nauczy Cię je kochać Kardynał de Bury.

Przedziwny to żarliwiec! Mógł popełnić zbrodnię
(niewinną, mówiąc szczerze): aby jeno godnie
księżnicę swą opatrzyć, ulegał pokusie
i dał się przekupywać — książkami!... O, musie,
o, pędzie niewstrzymany, który, jak się wierzy,
niejedną z dusz mu krewnych nawet do kradzieży
umiałeś pchać!...

Ja tego, rzecz prosta, nie chwale,
a tylko żał mi ciebie, drogi Kardynale,
światłości w mrokach wieków, śpichlerzu wszechwiedzy,
o jakiej nie marzyli wszak twoi koledzy,
w biskupią strojni mitrę (jeśli, to nie wielu!).
Arystotelesowej nauki czcicielu,
wyznawco i współwierco boskiego Platona
i wszelkich jego uczniów, których to imiona
świeciły w Aleksandrji, w Rzymie, Carogrodzie,
a których mądre słowa nie były na wodzie
pisane wiotką ręką, jeno ryte w miedzi
tak mocno, że w ich znakach ciąga wieczność siedzi!
Pochodnio żywej wiary, versatus w skrypcie,
na skrzydłach cherubinów wznoszącej ku górze
niebieskiej umysł ludzki!...

O, ty — biedny człeku!
Przekazuj swoją dolę od wieku do wieku:

zawistny los cię ścigał, on, co się nie liczy
nawet z powagą śmierci! Wtargnął cham zbrodniczy,
wierzyciel, z umarłego zdarł kosztowne szaty,
a owoc, z takim trudem zbieran, tak bogaty,
rozrzucił gdzieś po świecie, w zapomnienia parów
postrzącał jego resztki, niepomny zamiarów,
z miłości urodzonych!...

Świętych prawd bez liku,
obłonek nie znających, znajdziesz, Czytelniku,
w tem dziele, które stworzył ów człowiek bez kłamu,
promieni roznosiciel, cny biskup z Durhamu,
pokoju druh, wróg wojny, nieszczęsnej potęgi,
co niszczy, jak niszczyła dziś, kosztowne księgi...

Cóż więcej o tym szczytnym powiedzieć traktacie?
Podaję go wam dzisiaj w jego prostej szacie,
lecz z polską przykrojonej, tak, jak to umiałem.
Atoli i tu miłość stała mi się ciałem.

DOPISEK.

A co zaś do zamiarów — potraciłem o nie
powyżej —, które żywił mistrz buryjski w łonie,
do swej się biorąc księgi, bliższe-ć o tem słowa
na karcie da następnej autorska przedmowa.

PAMIĘCI WILHELMA FELDMANA

Za dawnych, młodych dni, wyznaję szczerze,
Do żydowskiegom rad zachodził Ghetta:

Zakochan byłem w Elim Makowerze
I Ezofowicz brał mnie jak kobieta.

Snać chorobliwa pchała mnie podnieta
Na szczyty wiary, że się hufiec zbierze
Odważnych Berków i że przyjdzie meta
U której zmiłkną wrzaski o „Acherze“.

Sen się nie spełnił — źle, czy dobrze, nie wiem
I mniejsza o to; jedno przecież w serce
Wgryza się moje: płomiennem zarzewiem

Chciałbym otoczyć tych, o ile moje
Wystarczą ognie, którzy w ciężkie boje
Poszli, by życie przebyć w poniewierce.

III. BAJKI, KLECHDY I BAŚNIE

PRZEDMOWA

Baśnie, które oddajemy w ręce publiczności, są opracowaniem dziś już wyczerpanych „Klehd, starożytnych podań i powieści ludu polskiego i Rusi“ K. Wł. Wójcickiego.

Nie naruszając treści, pragnęliśmy klehdy te zmienić w tonie, a przytem wyrzucić z nich pierwiastki „nowelistyczne“, które, o ile nam sądzić wolno, nie mogły być własnością ludu, lecz są literacką przyprawą ich zbieracza.

Niejedną z tych baśni słyszeliśmy w latach dziecięcych z ust pastuszków wiejskich: rytmiczna ich prostota uwięzła nam w pamięci na zawsze; dla przywrócenia ich kolorytu bardziej pierwotnego nie wahaliśmy się uciec tu i ówdzie do gwar ludowych, w których dusza ludu odzwierciedla się z natury rzeczy daleko silniej, aniżeli w języku warstw wykształconych.

Liczyliśmy się przytem z wymaganiami piękna, w tym celu też, nie chcąc czynić z klehd drewnianego sztafażu dla tendencyj wychowawczych, tendencje te usuwaliśmy na plan dalszy; młodzież dojrzewająca sama je sobie wysnuje, małoletnim zaś umysłem wytlómaczą t. zw. „sens moralny“, jeżeli tego zajdzie potrzeba, rodzice lub nauczyciele, dla których zbiorów niniejszy oby stał się bodźcem do rozbudzania w powierzonych opiece jej dzieciach szczerzej miłości ku pełnym poezji i prawdy życiowej podaniom naszego ludu.

MORSKIE OKO

Widzicie te skały, a turnice! Hań! nie było tego drzewiej, a jeno wszędy zboża się złościły — owies po pas, a pszenica to juści taka, że chłopa w niejbyś nie uwidział. Lasy były też nieprzeniknione, jako i teraz. Hej!

Tu, gdzie te kamieniska, a piargi, przemieszkiwał w czasach starodawnych wielmożny pan wojewoda czy hetman, a zwał się: Morski.

Majątki ogromne miał, pola i bory, a wszystkie te dobytki przeznaczył dla córki, którą, że była jedyniaca, sierdziście miłował.

— Kocham cię też — powiedział do niej i jakie są jest skarby na świecie, nic one dla mnie przy tobie nie znaczą. Uczynię wszystko dla ciebie, dziewczko moja, ale na jedną rzecz to już ci bym nigdy nie zezwolił: nie pójdziesz za człowieka obcego rodu, choćby i sam książę, albo i król był, a jeno za swojego.

Tak, jej, tej córce swojej, powiedział pan Morski. Hej!

A, wiecie, o granicę, o miedzę siedział na swem gnieździe węgierski książę, albo i król, który, ujrzawszy raz przepiękną córkę pana Morskiego, upodobał se w niej do znaku i sumitował się, jako że bez niej żadną miarą żyć już nie może i za żonę mieć ją musi.

Słał ci też posły za posłami, ale pan Morski twardą duszę miał.

— Daremne — powiada — zabiegi i wszelakie starania, bo jak kto kraj swój umiłował, to tego, co mu jest najdroższem, obcej ziemi nie odda. Tak mówił. Hej!

Co się nie zdarzyło: wybuchnęła wielka wojna.

Nie wiedzieć — Tatarzy czy Niemce najechali kraj, palili, a kradli, ludzi na pal wbijali, jak kto hyrny był, a uledez im nie chciał, albo pędzili w jasyr, w niewolę.

Trzeba się było wojewodzie pokwapić, chmarę narodu zebrać, uzbroić w kolczugi a miecze, pancerze żelazne dać i z nimi ruszyć na wroga, ażeby czuł, iż są jest ludzie rycerni na świecie, którzy swej ziemi bronić udzierają. Hej!

Tak też uczynił, jako że rad był i mocen dopomódz ojczyźnie, a córkę, iżby węgierskiego gagatka oko za nią nie mierziło, zamknął w klasztorze.

Zasię na odjezdne wielkiem przekleństwem jej zagroził, jeśliby dla przestrogi ojcowskiej posłuch zatraciła.

A on-ci cudzoziemski pan korale i różne klejnoty dziewce przekazywał, srebrne zamczyska i złociste komnaty zbudować przyrzekał, a czarownice cyganichy takie rzucały na nią uroki, że córka pana Morskiego wolę rodzica podeptała i na ucieczkę z klasztoru zezwoliła.

Sam ów książę po nią przybył, na mnicha się przeobraził, do wrót klasztornych zapukał i o schronisko poprosił.

A kiedy wszystko w klasztorze posnęło, a czarownice nieczystymi zamówieniami psy do milczenia zmusiły, książę pannę uprowadził, zaraz się z nią ożenił i w pałacu koralowym, między złoto, a drogie kamienie osadził.

Było im wespół bardzo dobrze. Żyli w szczęściu dzień za dniem, rok za rokiem; siedmioro dzieci mieli, a wszystkie jak anioły.

Że zaś rodzic z wyprawy wojennej nie wracał, a wieści szły po okolicy, iż zginął, tak księżna, o przekleństwie zapomniaw-

szy, żadnemu frasunkowi przystępu do swej duszy nie przyznała, jeno w pieszczotach z dziećmi będąc, po łąkach kwiecistych, niby sarna, biegać i tańczyć lubiła.

A pod wieczór wróżki przeróżnemi gadkami i opowieściami do słodkich snów tę szczęśliwą księżnę tuliły. Sny-ć były prześladkie, ale nie wieczne. Hej!

Bo, wiecie, jednego razu, jako że Panjezusowi wiadomo co robić, a wszelkie nieposłuszeństwo i zdrada ukarane być muszą, wojewoda, w wielkiej sławie w dziedzinę swoją zawitał i o córkę przepytywać począł.

O mało-ć mu serce z bólu nie pękło, gdy mu słudzy, a domownicy koralowy pokazali pałac. W bisiorach i klejnotach, w perłach i złocistych zausznicach, jakich nasi nie widzieli nawet w Budzinie czy Kieżmarku, wyszła córka naprzeciw niemu, aby go pozdrowić i szczęśliwością swoją się pochwalić.

Ale on, stary Morski, jako że się dochował — mówię wam — nie królowy Wandy, jeno plemienia, co sobie umiłował obcego człowieka, zagrał, niby surmą wojenną, strasznym gniewem: przeżegnał się i nogą tupnął z taką mocą i potęgą, że zamek koralowy w proch a gruz się w te tropy rozsypał. Hej!

I wraz przeraźliwym, a obiecanem zagrzmiał przekleństwem, niby ta skała kiedy się z Koziego abo z Buczynowych oberwie i w przepaść z hukiem a trzaskaniem runie, że niech się też wszystko w kamień obróci, łany, grody i cały dobytek, cudzoziemca. Hej!

A kiedy córka wywiodła mu i dzieci, iżby zapalczywość jego prześlagały, on na to nie miał żadnego baczenia, tylko jeszcze gwałtowniejszym zaszumił poświstem, nijak ten halny wicher, co bory kosi, niby trawę, i, pohamować się nie mogący, powiedział:

— Ni ty moja córka, ni to wnuki Morskiego! Rozpłyn się w własnych łzach, a dzieci twe niech się w nich potopia!

Tak ją przeklął ten starzec. I wszystko od razu w kamień się obróciło.

Wyrosły te góry — i Żabie i Rysy i Mięguszowiecki i Cubrzyna i Wrota i Miedziane i wszystkie te, co je widzicie naokoło.

A ta haw! turnica, co się nazywa *Mnich*, powstała przez to, że ów węgierski książę, przerażony, za mnicha się przebrał, jak ongi, kiedy u wrót klasztornych dziewczki się dopukiwał, i uciec chciał, ale przekleństwo miało kroki bardziej wartkie i drogę mu zastąpiło.

Widzący to, pani do wrózek w strasznej rozpaczycy o pomoc szła, ale te niczego uradzić nie mogły, jeno każda po jednym dziecku porwawszy, uciekać poczęła.

Ale kamienie rosły, że przejścia już żadnego nie było. Wróżki z onemi dziciętami siadły i pewnej śmierci czekały.

Nic naokrag nie usłyszałaś, tylko jęki, płacz i żalowanie, że ginąć z żalości. Dzieci matki nawoływały, a ona nadbiegłszy, płakała z niemi i płakała, jak ta Siklawica, co z szumem spływa ku Rostokom.

I, wiecie, z tych łez zrobiło się siedm stawów, a rosły tak, że się one niewiniątka w nich potopiły — w każdym stawie jedno dziecię leży.

A księżna, chcąc uciec przed rosnącą tą wodą, schroniła się na wielką turnię, na Rysy, i tu oczy docna wypłakała.

Jedno z nich spłynęło z wierchu — wiecie, tym źlebem, gdzie teraz zalega śnieg wieczysty, i utworzyło staw, który ze powstał z oka córki Morskiego, od tych czasów Morskiem Okiem się zowie.

W żalu nieopisanym księżna wszystkie swe skarby i klejnoty w jezioro to rzuciła, bo już jej były na nic. Ludzie je pono wyłowili, te skarby, ino że im szczęścia nie przyniosły.

A potem, gdy już na świecie nie było nic, tylko góry i wody,

sama się w jednym z tych stawów, które tu widzicie, rozplynęła.

Czarna jest woda w nim, bo pani w czarnej żałobie na śmierć szła.

Słychać ci tu nieraz jęki i narzekania, ale dla duszy tej znikąd ratunku nie ma, zaś ktoby się nad nią litował, od razu w zaspach śnieżystych zginie na wieki. Hej!

UCIECZKA

Powiem wam gadkę o zaczarowanej królewni.

Była jedna królowna, rozmiłowana w pięknym królewiczu, a straszna czarownica trzymała ją zakłętą na wysokiej górze.

Ulitowała się królowny dobra wróżka i, w postaci gołąbka przyleciawszy pod jej zakratowane okienko, mówi do niej tak:

— Ja cię, zakłeta królewno, wyzwolę, bo mi jest bardzo żal, Ciebie i królewicza jest mi bardzo żal: masz tu grzebień, szczotkę, jabłko i prześcieradło i uciekaj.

I poradziła jej, co ma robić z tym grzebieniem, szczotką, jabłkiem i prześcieradłem.

— Wiedźma straszna gonić cię będzie — tak mówi —, ale ty się, zakłeta królewno, nie lękaj, ino rzuć za siebie grzebień, obejrzyj się i uciekaj.

A jak cię doganiać będzie po raz wtóry, ciśnij szczotką, obejrzyj się, i uciekaj.

Zasie po raz trzeci, żebyś się w ręce tej czarownicy nie dostała, rzuć przed nią jabłko, obejrzyj się i uciekaj.

A w chwili ostatecznej, kiedy już żadnej rady nie będzie, rzuć poza siebie prześcieradło i znów się obejrzyj i uciekaj.

Żal mi ciebie, zakłeta królewno, ciebie i pięknego królew-

cza: weź ten grzebień, szczotkę, jabłko i prześcieradło i uczyni, jak ci biały gołąbek każe.

Tak jej, tej królewni, zakłetej przemocą starej czarownicy w zamku, na wysokiej górze, powiedział biały gołąbek, co dobrą wróżką był, potem zatrzepotał białymi pióreczkami i pofrunął precz w obłoki.

A jednego czwartku, po nowiu, czarownica, wiedźma stara, na łopacie siadła i huknąwszy: „wiesz nie wiesz, biesie nieś!” na Łysą górę, do kumów swoich, biesów, poleciała.

Widzi to zakłeta królowna, bierze grzebień, szczotkę, jabłko i prześcieradło i równo ze światem w drogę.

Biegnie i biegnie królowna, a za nią co tchu czarownica, która już do zamku swego powróciła i ucieczkę zakłetej królowny spozregła.

Już ma ją chwycić za suknię, ale królowna, jak jej poradził biały gołąb, co dobrą wróżką był, rzuca za siebie grzebień, obejrzyj się i w drogę.

A z tego grzebienia zrobiła się wielka rzeka. Tak ona czarownica, widząc, że królowna z rąk jej uchodzi, dosiadła koguta i na kogucie rzekę, na milę szeroką, przebyła wpław.

Królowna biegnie i biegnie, a za nią czarownica.

Już ma ją chwycić za suknię, ale królowna, pamiętna rady gołąbka, co dobrą wróżką był, rzuca za siebie szczotkę, obejrzyj się i ucieka.

A z tej szczotki zrobił się gęsty las. Dzień cały przedzierała się czarownica przez tę puszcę, aby z niej wydostać się i puścić się w pogoń za uciekającą królowną.

Królowna biegnie i biegnie, aż jej drobne nóżki mdleją, a za nią czarownica.

Już ją chwyta za kraj sukni, w tem narzeczona pięknego królewicza rzuca za siebie jabłko, które dał jej biały gołąb, co dobrą wróżką był, obejrzyj się za siebie i ucieka.

A z tego jabłka zrobiła się wysoka góra. Dzień cały darła się czarownica, wiedźma stara, na tę wysoką górę, aż się wdarła i zaraz, w te tropy, wielkiego dosiadłszy koguta, za uciekającą królowną pospieszyła.

Już ją dogania, już ma ją w swoich rękach, a ta królowna, w ostatecznej chwili, pamiętna rady gołębia, co dobrą wróżbą był, rzuca za siebie prześcieradło, obejrzy się i co tchu jej starczy, ucieka dalej.

Z tego prześcieradła zrobiło się wielkie morze. A to morze pieni się i ryczy i szumi i burzy.

Rzuciła się czarownica na kogucie w to rozpienione i szumiące morze, ale królowna dobiegła już zamku ojca swego.

Zagrały skrzypce, zadudniły basetle; ojciec z królewiczem przyjęli ją z nieopisaną radością, a czarownica, siedząca na zdechłym kogucie, zdaleka widząc to wesele i to ucztowanie królowny w królewiczem, padła ze złości w okropnych męczarniach.

Morze znikło od razu, a na polu zamkowym został trup czarownicy.

Trupa tego ani kruki, ani wrony, ani żadne inne, ludzkiego mięsa głodne ptaki nie tknęły.

Umyślili je ludzie pochować, ale ziemia nieczystych zwłok przyjąć nie chciała.

I tak leżał ten trup na szczerem polu, dopiero w jedną straszną noc zerwał się ogromny wichur i poniósł go na podwórzec zamczyska, gdzie zła czarownica przez długie lata więziła zaklętą królownę.

A ona-ć, królowna, wybawiona przez gołąbka, co dobrą wróżką był, poszła za pięknego królewicza i dobrze im się działo.

BAJKA O DŻUMIE

W lecie spał raz parobek na stogu siana. Przy stogu była drabina. Wszędy, jak makiem zasiał — śmiertelna cisza.

Po świetle grasowała dżuma, a gdy ona świat nawiedzi, nawet koguty nie pieją i psy ujadać przestają.

Chyba, że je drażnić zacznie, to psy natenczas warczą i przeraźliwie skowyczą.

Miesiąc świecił nad pustkowiem, gdzie morówka bez mała wszystkich ludzi w pień wycięła, a parobek spał.

Aż tu naraz obudził go wark i skowyt. Wiadomo parobkowi, co to znaczy, w wielkim strachu przeciera oczy i patrzy:

Zdaleka, zdaleka przez puste pola i zagrody, gdzie pomarli wszyscy ludzie, pędzi ku niemu ogromna niewiasta.

Włosy ma rozczochrane i cała w bieli. Za nią psy warczą i skowyczą.

Zastąpił jej drogę wysoki płot, a ona huź! przez niego i jednym susem skoczyła na drabinę, co stała przy owym sianie.

A że już była w bezpieczeństwie, więc ze szczebla nadstawiała im pięty, tym warczącym i skowyczącym psom, i nic innego nie mówi, tylko, drażniąc, jednym ciągiem woła:

— Na goga noga! Na goga noga.

Parobek, że się umierać lękał, długo się nie namyślał, tylko z nienacka przewrócił drabinę, co stała przy sianie, i dżumę, nim się spostrzegła, strącił między warczącą i skowyczącą sforę.

Dżuma psom się wyrwała, pogroziła zemstą parobkowi, co się tak lękał śmierci, i znikła.

Nie umarł-ci on parobek, ale przez całe życie nadstawiał nogę i nic innego przemówić nie mógł, tylko wołał jednym ciągiem:

— Na goga noga! Na goga noga!

Taką zemstę wywarła na nim morowa dziewczica — za to, że lękał się umierać.

KOSZAŁKI OPAŁKI

Ktoby też dał wiarę, że czasem to i z najgłupszego chłopca może być król! A przecież tak się raz wydarzyło na świecie — prawda, że za bardzo dawnych lat.

Posłuchajcie:

Jednego dnia rąbał chłop drzewo w lesie. Aż tu usłyszał krzyk o ratunek: jakiś pan ugrzązł z końmi i wozem w bagnie.

Chłop się piersiami sparł i kolasę z błota wydobył.

A ten uratowany pan chciał mu okazać swą wdzięczność powiada:

— Żądaj, czego chcesz — powiada —, a ja ci dam.

Ale chłop taką głupotę w swojej mózgownicy miał, że nawet nie wiedział, czego by się też domagać.

Wtedy pan, który wielki czarnoksiężnik był, na odpowiedź żadną nie czekał, bo — myśli sobie — głupi jesteś, więc się z tobą nie dogadam —, jeno od razu barana mu dał i rzecze:

— Masz barana, a ile razy potrząśniesz jego wełną, sypną ci się złote pieniądze, niby, wiecie, czerwienice — powiedział mu ten pan, co wielki czarnoksiężnik był.

Idzie sobie chłop, wielce uradowany, z baranem do domu, tylko że jedna stara baba, w tej samej wsi mieszkająca, zastąpiła mu drogę i mówi:

— Słyszałem-ci ja o waszem szczęściu, kumoterku, trzeba je zalać — mówi — dobrym trunkiem.

— Juści — odpowiada chłopisko —, nie w ciemnię bity jestem, to mi dobry trunek nie zaszkodzi.

I pił.

A ona, stara baba, kiedy już mocno pijany był, cudownego barana zabrała mu dla siebie, a innego chytrym sposobem podstawiała.

Chłop się przespał, a potem, żeby tych złotych pieniędzy, tych dukatów, do skrzyni nasypać, zaczął trykiem trząść — napróżno, bo wiadomo, że z takiego zwyczajnego barana nie tam człowiek nie wytrzęsie.

Co najwyżej trochę wełny na kozuch, albo mięsa na pieczeń, choć, prosty człowiek takiej pieczeni nie jada, tylko ci z miasta albo ze dworu.

Hm.

Zasmucił się chłop i po niejakiej kalkulacji poszedł do lasu.

— Bo — duma sobie — co będzie, gdy spotkam tego pana, com go z bagna wydobył? Może co uradzi?

I czarnoksiężnik uradził, jako że moc taką miał, dał mu kurę, mówiący:

— Jak na nią zawołasz: kurko! kurko! znieś mi złote jajko! to ci od razu złote jajko zniesie.

Chłop podziękował, kurkę pod pachę wziął i do swego obejścia powraca. Ale ona wiedźma, ta stara baba, już na niego czekała i powiada:

— Ja was — mówi —, sąsiedzie, bardzo szanuję, bo rozum w głowie posiadacie niezgorszy; mam dobry likierek, warto się go napić. Rozumiecie?

— Juści — powiada — taki głupi nie jestem, żebym nie rozumiał; wiem, że dobrego likierku zawsze napić się warto, zwłaszcza gdy się ma taką kurkę, co byle zawołać na nią, a złote jajko zniesie.

Miał ci ten chłop swój rozum, jednego przecie nie spostrzegł: że mu baba zamieniła kurkę na inną.

Poszedł do domu; kurę na wszystkie strony, gdzie ino może,

obrać i obmacuje, a mało jej ogona nie wyrwał, a kura jak nie, tak nie.

Więc też umyślił sobie, że nie ma w tem nieszczęściu innego poratunku, tylko spróbować szczęścia i pójść do lasu.

— A co — powiada —, może mi się uda?

I udało mu się, bo mądrym człowiekowi zawsze się uda: czarnoksiężnika spotkał i taki obrus od niego dostał, że jak rozkazał:

— Obrusie! obrusie! rozściel się! —

W te tropy obrus się rozścielał i wszystkiego było na nim do sytości: kosztownych potraw najróżniejszych i win drogich i gorzałki i czem jeno człowiek duszę swoją uraczyć zapragnie.

Chłop, ciekaw, zaraz w lesie obrusowi rozesać się przykazał, uczciwie jadem sobie dogodził i jak zaczął tych trunków próbować, tak próbował i próbował, aż się spił i zasnął.

A we śnie jedną li miał żalność, że też sam tak biesiadował, a swojej kumoszki, onej wiedźmy starej, nie zaprosił.

Ale wiedźma już czatowała i kiedy chłop leżał, jak ścięty pień, czarnoksiężski obrus mu ukradła, a inny mu podsunęła.

Chłop się obudził i teraz dopiero poznał, że choć w ciemność go nie bito, to jednak mądrość babska była większa.

— Dlaczego — powiada do onego czarnoksiężnika, — mądrość babska ma być większa od naszej? Nie prawda?

A czarnoksiężnik na to mu odrzeknie, kiedy ten chłop u niego był, aby go poratował, że to prawda i że — mówi — innej niema rady, tylko porządnie ją sprać, tę babę, a wtedy rozum jej nie będzie taki chytry.

I dał mu kobiałkę i wyuczył go, żeby mówił:

Koszalki opałki z mojej kobiałki!, a te koszalki zrobią już swoje.

I odrazu wypróbował tej nauki na skórze chłopca, bo — mówi — czasem to się i chłopu przyda.

Bolało go bardzo, ale rozweselony był, że ma takie lekarstwo, przez które skończy się babskie panowanie.

I kobiałkę zarzucił na plecy i podśmiechujący się poszedł do wiedźmy.

Zaczęła go częstować, bo — myślała sobie — ma, widać, w tej kobiałce coś dobrego, może być dla mnie z użytkiem.

Wzięła kieliszek i do chłopca przepiła. Wtedy chłop jak nie krzyknął:

— Koszałki opałki z mojej kobiałki! —

tak w te tropy wyskoczyły porządne bukowce i dębniaki i jęły babę trzepać, co się wlało.

Wiedźma się zarzeka, że mu wszystko odda i jeszcze czem nadgrodzi, żeby jej tylko dał spokój. Ale chłop odpowiada:

— Biję cię, bo bić cię muszę; żadnej mi nadgrody twojej, stara babo, nie potrzeba — szkodnica jesteś, umrzesz.

I kazał ją dobić.

Potem, jak już baba ostatni raz zipnęła, rozkazał tym bukowcom i dębniakom, coby się schowały do kobiałki, przerzucił je przez plecy, zabrał barana i kurę i obrus i poszedł w świat.

Zachciało mu się wielkiej dostojności.

— Mam — powiada barana, że jak go potrząsnę, to sypie czerwieniami, mam kurkę, co mi znosi złote jajka, mam obrus z jadem i napitkiem do woli, mam i kobiałkę do obrony, czemu nie mam zostać królem?

Tak sobie przepowiedział i przystał do dworu jednego króla, który z nieprzyjacielem toczył wielką wojnę.

Chłop od razu nieprzyjacielskie wojsko pałkami pobił, za co otrzymał piękną królową za żonę, a potem kiedy stary król umarł, na jego tronie siadł i bardzo mądrze nad narodem panował.

Nie dziwota: miał barana, co mu czerwieniami sypał,

miał taką kure, co mu niosła złote jajka, miał obrus, co jak na niego zawołał:

— obrusie, obrusie, rozściel się! —

w te pędy się rozścielał i potraw i napojów dostarczał bez miary; a jeszcze miał-ci ten z chłopca-król i kobiałkę z pałkami, co nietylko całą armję, ale i najgorszą, najchytrzejszą babę, kiedy było potrzeba, pobily.

Taka jest, wiecie, historia o tym chłopie, co przez mądrość swoją królem zostać chciał i królem został.

BIEDA Z NĘDZA

Panoszył się stary wojewoda, niby jaki król potężny.

Na zamku złocistym siedział, dwór i husarję miał, a jakieś ino miasta i wsie dowidzieć mógł, wszystko było jego dobyt-kiem a bogactwem.

Na niczem mu nie zbywało, a już przepiękny widok był, kiedy jego galary, sypkim ładowne zbożem, płynęły do Gdań-ska, na sine, dalekie morze.

Zbierał-ci za to pieniądze workami, a juści złoto mający, uczyły bajeczne wyprawiał, że hyr o nich, o tych ucztach i biesiadach, szedł na wszystkie strony świata.

A miał-wam taki obyczaj, że kiedy się najadł i napił i nie-zgorszego humoru nabrał, to w swojej wielkomożności wszelakie kosztowne naczynia, puhary i rozstruchany i rogi misternie rzeźbione, w złote i srebrne obrączki ujęte, pomiędzy braci szlachtę i czeladź rozdawowywał, bo mówił:

— Niech się też inni ze mną weselą, a znają, iż pan jestem nad pany i choćby konia z rzędem marnemu pachołkowi nie użaluję.

* * *

Razu jednego, kiedy po sutym obiedzie Jego Miłość pan wojewoda rycerskie z dworzanami sprawował gonitwy, pod mury zamkowe przyhląkało się dwoje niby widm, niby ludzi, i taki między sobą wszczęli rozhovor:

— Mocnośmy też utrudzeni i głód nam doskwiera siar-czysty: w bramy pałacu nie puszcza, bo któżby o nędzarza był frasobliwy; a i pokazać się w takim zaopatrzeniu jakożby się to godzić mogło?

— Juścić — powiada Bieda do Nędzy — bo one to były, te niby widma, niby ludzie — waszec masz na sobie i jakoweś żupaniatko i pas i czapkę sobolą na głowie: dziurawe-c to i wytarte, ale zawsze coś znaczy; przytem i oblicze u waszeci prawda, pożółkłe i pomarszczone, jednakże do człeczego wi-zerunku jeszcze ma podobieństwo. Na mnie bo skóra i kości, nędznem płachciskiem przyodziane, a oczu to już ani śladu: tak je głód i wszelka, jaka jest na świecie, niedola wygryzła, że zostały po nich ino aby ciemne doły.

— Nie żal-ci niczego — odrzekł ten, co był z waszeci ubrany, niby imć pan Bieda — tylko nad tem boleję, że u mnie pustki w żołądku, a tam aż pasów popuścili przez nadmiar napitku i jedzenia.

— Prawdę waszec mówisz — zagadnęła Nędza —, wiadomo jest wszędy, że tam na jeden obiad biją wołu i trzech tucznik-ów, zasię na chlebek i kołacze i przeróżne marcypany to, wiedz jegomość, idzie co dzień żyta i pszenicy po trzy korce bez strychulca.

— Zjadłbym krzynę mięsa i byle słodkim specjałem też bym nie pogardził, a popiłbym sobie to wszystko winkiem czy wódeczką...

— Ba, ba! Oskoma u waszeci nie mała, aże, czuję, ślínkę lykasz. Jest i do czego: wiadomo wszędy, że przy takim jednym obiedzie wypijają panowie szlachta, czeladź i dwo-

rzany beczkę wina, dziesięć beczek piwa — słyszysz waszeć? —, dziesięć beczek piwa i miodu sporą beczułą i wódki godną baryłkę... Ale u mnie łakomstwa nijakiego niema: ogryzłabym choć jedną kostkę, kontetowałabym się choćby jednym kałkiem suchara.

— Bądźże mnie i suchar, tylko niechby mi dali czem popić, choć jeden łyżek, powiadam...

— Nie dadzą; gotowi nas jeszcze psami wyszczuć, gdyby nas spostrzegli. Chodźmy.

I Bieda z Nędzą wzięli się pod boki i powlekli się do wsi i miasteczek, do ludzi biednych i nędznych, aby jeszcze byli biedniejsi i nędzniejsi.

A Jego Miłość, pan Wojewoda biesiadował i weselił się na złocistym zamku, niby jaki król potężny, a jak mu się policzki zaczerwieniły z wielkiej wesołości, tak uderzał w stół i mówiący:

— cobyście wiedzieli, iż nie ma możniejszego nademnie — kosztowne puhary i rozstruchany i rogi misternie rzeźbione, w złote i srebrne okowy ujęte, na dworaków swoich rzucał, iżby je zabrali na pamiątkę.

* * *

Miał-ci stary wojewoda syna, którego wysłał w obce kraje, aby w większym zaprawiał się rozumie.

Syn się zaprawiał, ino że to zaprawianie kosztowało pieńędzy moc wielką.

Opatrzył-ci go wojewoda do syta, ale rok jeden nie upłynął, kiedy trzeba mu było posłać złota świeże wory.

* * *

Jechał z niemi, z temi czerwieńcami, stary dworzanin w świat ku wojewodzie i po drodze natknął się na szla-

chetkę, na człeka, ubranego z waszecia w wytarte żupaniątko i w dziurawe buty.

— Dokądże Pan Bóg prowadzi? — pyta się chudopacholek dworzanina.

— Dokądżeby? Do Paryża; wiozę złoto wojewodzie: w rozum porość postanowił, ino że, wiecie, panie bracie, rozum nie przychodzi, a pieniądz jest wartki i okragły — kula się bez przystania.

— Przyjdzie, mości dzieju i rozum, tylko powoli.

— Może i przyjdzie, ale w on czas, kiedy już grosza zabraknie, a bieda zajrzy nam wszystkim w oczy, bo na to się zanosi.

* * *

Jegomość w wyszarzanym żupanie gdy to usłyszał, w te pędy wielce się rozradował, sobolą, wyleniałą czapkę do góry podrzucił i zawołał:

— Ciesz się ze mną, kumoszko Nędzo, zawitamy wnet do zamku i nagodzimy sobie choć raz w życiu jadła i napitku do sytości.

* * *

Mądrzejszy albo i niemądrzejszy wrócił wojewodzie z obcych krajów w progi swoje rodzinne.

Ojciec wielkie na jego powitanie wyprawił gody. I wołu i trzy wieprze zabić kazał, kołaczy i marcypanów przyrzadzić, wina beczkę i piwa dziesięć beczek i miodu i wódki spore baryły wytoczyć polecił i wszystkich, ilu miał, znajomych i przyjaciół pospraszal.

I jedli i pili i huczeli i szumieli, że tylko patrzeć na to: gwar i muzyka i tańce i zapasy — hulalać dusza bez kontusza! A zamek gorzał od światła, że luna biła na okolicę.

— Pali się pałac czy też co — rzeknie Bieda do Nędzy —
chodźmy, zobaczymy. Psów nie słyszać, nic nam nie zrobią.

I Bieda z Nędzą wdrapali się na mur zamkowy i przytuleni
do baszty, spozierali, jak wielmożni panowie uczują.

* * *

A z północks, kiedy szlachta i dworzany, że byli podocho-
ceni i walnie pijani, spać się, gdzie kto mógł, pod ławy czy
pod stoły, w adamaszkowych komnatach, czy też w bruko-
wanym dziedzińcu pokładli, jegomość chudopacholek pan
Bieda i jejmość pani Nędza, pewni że brytanów z łańcucha
spuścić zapomniano, z murów się zsunęli, resztek jada i na-
pitku liźnęli i pierwszy raz w życiu w okna zamku, w sypial-
nię pana wojewody zajrzeli.

A w sypialni tej Jego Miłość pan wojewoda patrzył z zaso-
pionem obliczem, jak stary dworzanin płacił zgromadzonemu
lichwiarzom długi wojewodzica.

Inaczej być nie mogło: wszak-ci to Bieda i Nędza zajrzały
pierwszy raz w okna zamkowe.

* * *

Minęło lat kilka, stary wojewoda kości swoje złożył w grobie,
a syn hulał i hulał; posprzedawał wszystko, co było w zamku
drogiego, nawet miedziany dach z kaplicy zedrzeć i płyty
marmurowe z posadzek wydobyć kazał i lichwiarzom za bez-
cen oddał. A kiedy już żadnego poratunku w swojej niego-
dziwości nie miał, za granicę wyruszył i tam resztki ojcowizny
przejadł.

Zamczysko opustoszało, a Bieda z Nędzą, widząc, że nikt
im przystępu nie broni, po pustych a smutnych komnatach
po zachwaszczonych dziedzińcach i podwórcach swobodnie
się przechadzali.

* * *

Jednego razu, wędrując tak po pałacu, natrafili na drzwi do
lochu, rozglądają się, aż tu w kącie beczulka małmazyi, o któ-
rej dawni mieszkańcy zapomnieli. Nuże kosztować Bieda
z Nędzą tego wina. Kosztują i kosztują, aż-ci się upili i po-
snęli: stare wino pomściło pamięć wojewody.

A duch jego, co się nocami błakał po zwaliskach i z puszczy-
kami jęczał i wzdychał nad upadkiem swego rodu, zatrasnął
drzwi do lochu i Biedę z Nędzą na wieki w nim przywarł.

Bieda i Nędza, choć do głodu nawykły, uległy śmierci,
jakoże każdy umierać musi. Zresztą, już-ci w tym zamku
potrzebne nie były: na ich miejscu rozpoczęło królować
Zniszczenie.

Rozsiało się na powalonych basztach, na zielskiem po-
rosłych murach, pustemi świecącymi oknami; w lochu leży
Bieda z Nędzą, za ręce się trzymający, a duch wojewody
strzeże wejścia do niego, iżby żaden z przechodniów nie uj-
rzał sromoty i hańby marnotrawnego syna.

O SZKLANEJ GÓRZE

Jedni mówią, że gdzieś na dalekim, szerokim świecie, za
siódmą górą i za siódmą rzeką, a inni, że, przed wiekami, na
naszej polskiej ziemi była cudowna Szklana Góra, a na tej
górze zaczarowany zamek wspaniały, otoczony sadem, w któ-
rym złote rosły jabłka, a w tym zamku prześliczna mieszkała
królewna.

Rozeszły się o niej wieści na okręgi, to też niejeden rycerz
waleczny zapragnął zdobyć rękę jej i posiąść nieprzeliczone
jej skarby.

Daremnie.

Lat siedem trwały te zabiegi, siedm lat pomnażała cię ciżba

trupów, zalegających podnóże góry. Bo co który junak pięć się zaczął, to z połowy stromej ściany albo nawet z pod samego wierzchu spadał na ziem i głowę sobie roztrzaskiwał.

A jak się to działo, tego dowodem był jeden z najdzielniejszych. Mówiono o nim, że nie istniały dla niego żadne przeszkody, że udawały mu się wszystkie wyprawy.

Dobrał sobie rumaka nad rumaki, ostreimi podkuł go podkowami i jął się brać w stronę szczytu.

Ku wielkiemu podziwieniu świadków, otaczających stoki góry, do samego niemal dotarł zamku, aż tu z jednej jabłoni, które złote niosły jabłka, zerwał się z wielkim szumem ogromny sokół i skrzydłami uderzył konia w oczy.

Koń się spłoszył i razem z nieszczęśliwym zuchwalcem runął do stóp Szklanej Góry.

I rumak i rycerz starli się na miazgę.

Widział to biedny żaczek, ale się nie przeraził, tylko jeszcze większej nabrał ochoty, aby sił swych poprobować, za odwagę i hart królewską otrzymać nagrodę.

Wziął się na sposób.

Poszedł do lasu, ubił rysia i ostre pazury jego przymocował do rąk i nóg swych i w tym, acz nie rycerskim, ale zmyślnym rynsztunku dotarł, jak ów rycerz, prawie pod sam wierzchołek góry.

Zmęczony okrutnie, położył się na chwilę w miejscu nieco dogodniejszym, by odpocząć.

Zobaczył go sokół, który na złotej gnieździł się jabłoni, zerwał się ku niemu i chciał go ze stromej, szklanej strącić ściany.

Ale żak nie w ciemnię bity.

Pochwyił sokoła za nogi, a ten, przerażony, uniósł go do góry, ku niebu, ponad zamek.

Krążył tak z nim sokół tuż — tuż nad sadem, w którym złote rosły jabłka.

I wtedy to żak, przemądry a czujny, dobył kozika, nogi obciął straszemu, a teraz już przelęktemu ptakowi, że aż zginął gdzieś w obłokach, narwał sobie złotych jabłek i podążył pod bramy zamkowe.

Ale zamku strzegł smok okrutny.

Młody żaczek, wyuczony, rzucił na niego złotem jabłkiem, a smok tak się przeraził, że w tej chwili znikł w przepaści na wieki.

Z wielką radością powitała żaczka oswobodzona królewna i, wdzięczna, że przez niego nie ma już nad sobą straszego sokoła, ani okrutnego smoka, strażników zaczarowanego zamczyska wzięła go sobie za męża.

Przechadzał się ongi żaczek, a dziś król znamienity ze swoją królową po sadzie z złotemi jabłkami i ujrzał na ziemi wielkie roisko ludzi.

Gwizdem srebrnej piszczałeczki przywołał swego posłańca, zwinną jaskółkę, iżby się dowiedziała, coby to znaczyło.

I cóż się nie pokazało?

Krew, która pociekła z odciętych przez żaczka nóg sokoła, ożywiła owe tłumy, co przez siedm lat spadały z Szklanej Góry, nie dotarłszy do celu, do wierzchołka, i dzisiaj tłumy te wielbią głośno swego zbawcę.

Takie to były cuda, które zmyślnością swoją zwykły, biedny sprawił żaczek, a który odtąd najlepszym stał się królem dla wszystkich.

O MADEJU ROZBÓJNIKU

Jechał raz kupiec ciemnym lasem, z długiej podróży wracając, i, zabłądziwszy, ugrzązł z wozem w gęstym bagnie. Wyciągnąć go nie mógł żadną miarą, to też rad był, kiedy się zjawił Silacz i mówił:

Wóz ci wyciągnę, jeno przyrzeknij, że oddasz mi w nagrodę to, co znajdziesz w domu, a o czem dotąd ci niewiadomo.

Zgodził się z radością i Siłaczowi poręczył na piśmie.

A Siłaczem był sam czart przekłety, zasię pismem cyrograf.

Zasmucił się ogromnie, gdy, wróciwszy do domu, przekonał się, że złemu duchowi oddał własnego syna. Syn ten narodził mu się przededniami, o czem on, będący znaczny czas w drodze, nie posłyszał.

Ale syn, dorósłszy, oświadczył mu, że się piekła nie boi i, gdy nadeszła przepisana chwila, od razu wyruszył w świat ku przybytkom piekielnym.

Idąc tak, przybył do głuchego boru i tutaj spotkał Madeja Rozbójnika.

Ten chciał go zabić, choć za nim matka Madejowa prosiła, którą jedną z całej rodziny swej zostawił przy życiu.

Słyszał rozbójnik o tem, że za jego straszne postęпки czekają go w piekle męczarnie najokropniejsze. Przedsię jakie, nie wiedział, a wiedzieć zapragnął. I rzekł do chłopca: Życie ci podaruję, jeno mi wieści z piekła przyniesiesz.

Chłopiec przyobiecał.

Dotarłszy do bram Lucyperowych, zapukał do nich i zażądał, aby mu zwrócono ojcowski cyrograf.

Chciał to uczynić Lucyper, wiedzący, że dla niewinnego, a dobrego dziecka miejsca w piekle niema.

Oparł się temu djabeł podrzędny, Kulawy Twardowski, i wtedy władca piekielny krzyknął: Precz z tym kulasem na madejowe łóżce!

Pobiegł chłopiec, aby to łóżce zobaczyć: z żelaza było, naspikowane najrozmaitszemi brzytwami, z góry kapła rozgrzana siarka, a dołem, pod tą łożnicą, palił się ogień wieczysty.

Wracając z czeluści piekielnych, zaszedł ten prawy, czysty,

a odważny młodzianek do Madeja Rozbójnika i powiadomił go o tem, co widział.

Zbój się ogromnie przeraził i wielką rozpoczął pokutę.

Zatknął w ziemię maczugę, ukląkł przy niej i mówił, że kajać się będzie dopóty, dopóki skądś nie dostanie przebaczenia — i tak się kajał przez lat kilkadziesiąt. A w czasie tym maczuga, gdy on tak niewzruszenie klęczał przy niej i łzami ją oblewał, wyrosła w piękną jabłoń, a na tej jabłoni złociste, woniejące zabłyśły jabłka.

Radował się siwowłosy, długobrody pokutnik.

Jednego razu zjawił się w lesie Czcigodny Starzec, zobaczył Madeja Rozbójnika, jak klęczał pod jabłonią, i rzekł:

Przebaczenie masz, zbawiła cię twoja skrucha.

A tym Czcigodnym Starcem był nie kto inny, a tylko ów chłopiec, który swoją czystą duszą bramy zwyciężył piekielne.

Podczas gdy to mówił, złociste, woniejące jabłuszka zmieniły się w białe gołąbki i uleciały do góry, ku niebiosom: były to dusze pomordowanych ongiś przez Madeja.

Sam on rozsypał się w proch, a dusza jego poleciała również ku niebu za gołąbkami ostatnim, za duszą jego rodzonego ojca, którego był również zabił, a który mu teraz winę, tę ze wszystkich najstraszniejszą, przebaczył.

O CUDOWNYM DĘBIE I BARANIM KOŻUSZKU

Pewien król miał córkę, którą bardzo dręczył.

Nie mogąc dłużej wytrzymać w domu rodzica, przybrała się królewna w barani kożuszek i poszła w świat, na służbę.

Zgodziła się do jednej, równie nie bardzo dobrej królowej, która była wdową, a miała syna — jedynaka.

Raz, w niedzielę, chciała biedna królewna-pomywaczka pójść do kościoła.

Ale pani jej powiada: Pójdziesz i owszem, przedtem jednak oczyścisz z popiołu garniec maku.

Robota nie na ludzkie ręce.

Siedzi bezwładnie dziewczyna i płacze.

Aż tu zlatują dwa białe gołąbki i głużą: Prześpij się, wypocznij, my cię tu zastąpimy.

I te gołąbki uporały się w mig z robotą, obudziły dziewczynę i kazały jej pójść do lasu, gdzie rośnie złoty cudowny dąb, i zawołać: Złoty dąbie, otwórz mi się.

I złoty dąb się otworzył i od razu dał biednej dziewczynie kosztowne sukienki, piękną kolasę i dwór królewski.

Zobaczył ją w kościele królewicz, syn niedobrej wdowy, i, zdumiony jej urodą i bogactwem, chciał się z nią ożenić i zaczął się dowiadywać, skądby pochodziła.

Z *Podniesionego Bicyka*, odrzekła.

Nie zrozumiał tego królewicz, choć w lesie, niedaleko wielkiego, złocistego dębu, spotkał raz jakąś dziewczynę w brudnym baranim kozuszk, która mu podniosła bicz a on ją tym biczem od siebie odpędził. Bał się, że go powala.

Nadeszło wielkie święto, a dziewczyna, która z królewny podała się na pomywaczkę, zapragnęła pójść znowu do kościoła.

Ale pani jej powiada: I owszem, zezwalam, jeno przedtem oczyścisz dwa garnce maku z popiołu, z którym mak ten, na wypróbowanie ciebie, zmieszałam.

Zalała się łzami dziewczeczka, aż tu do bezradnej przylatują znowu dwa białe gołąbki, pracę jej spełniają i do lasu, jak przedtem iść jej rozkazały.

Przechodząc dziedzińcem, widzi królewicza, jak szuka pierścienia, który spadł mu z palca. Znalazła ten pierścień

złocisty i podaje go strojnemu paniczowi. Ten przecie, zamiast być wdzięczny, odpycha dziewczynę w baranim kozuszk, żeby go nie zbrudziła.

Od lasu, od boru, gdzie dąb rośnie złoty, zajechała złota kolasa, szumnym otoczona dworem, a w kolasie w złociste szaty przybrana królewna.

Ujrzał ją oczarowany królewicz i dowiaduje się, skądby była. A ona kazała mu odpowiedzieć, że od *Złotego pierścienia*. Odjechawszy i złotemu dębu królewskie oddawszy przybory, wróciła w baranim kozuszk do matki królewicza.

Nie znał królewicz ani takiego kraju, ani takiego grodu, coby się nazywał „Podniesionym Biczem“, albo też „Złotym Pierścieniem“, postanowił jednak dotrzeć do prawdy.

Zdarzyło się po jakimś czasie, iż dziewczynie w baranim kozuszk pozwoliła pani pójść do kościoła — już bez żadnej trudności, sama od siebie. Widać, że była zadowolona z jej służbowania, albo rozmyślała sobie, co może być cięższego nad oddzielanie maku od popiołu, a to okazało się dla niej, dla tej posłusznej pomywaczki, łatwością.

Nie wiedziała o tem, że to był cud: białe gołąbki.

I królewicz, zobaczywszy przebogaty dwór w kościele, kazał przed wrótniami wylać na ziemię beczkę smoły.

Wracającej ze świątyni królownie przylepiła się do tej smoły leciuchna jej noga i ona, uciekając, zostawia w niej złoty trzewiczek.

Tego chciał królewicz. Próżne jednak były jego starania, żadną miarą dowiedzieć się nie wydolał, do kogoby ta zguba przynależeć mogła.

Aż tu pewnego dnia, kiedy, wielce zasmucony, w obejściu się swoim przechadzał, zleciały ku niemu dwa białe gołąbki i zagruchały: Nie martw się, nie żałuj, do złotego trzewiczka pasuje tylko drobna nóżka dziewczyny w baranim kozuszk,

na którą użyłeś biczyska, gdy ci je z ziemi w swojej dobroci podniosła. Drobna nóżka nie żadnej innej królewny, jeno tej służebnicy, którą odepchnąłeś od siebie za to, że ci podała pierścień złoty, przez cię zgubiony, a przez nią odnalezion. Bałeś się, by cię nie zbrudziła, a teraz widzisz, że czystą jest królewną.

Uradowany królewicz, wziął tę królewnę, co w przebraniu pomywaczki po świecie chodziła, za małżonkę.

Huczne wyprawili wesele, a przyszli na nie i udobruchany ojciec samej panny młodej i matka pana młodego, która od tej pory sprawiedliwszą i łagodniejszą stała się dla podwładnych.

Byłem na tem weselu i ja, a żem się na tej biesiedzie dobrem uraczył winem, to zasłyszana tam gadkę o *Cudownym Dębie* i *Baranim Kożuszku* wam, drogie moje wnuczeta, w tem mojem przeonaczeniu powtarzam.

CZARNOKSIEŻNIK I UCZEŃ

Była kobiecina, która miała chmarę dzieci, ale utrzymać ich nie mogła — z wielkiej nędzy.

Wyszła raz z najstarszym synkiem do lasu, po suche gałązki, na opał.

Widząc wesele i drzew i ptactwa i przeróżnych kwiatów leśnych, radujących się w złotem słoneczku, rzewnie się rozplakała, myśląc, że tylko jej tak żalobliwie jest na świecie.

Wtem zjawił się przed nią niepozorny chudopacholek, niby krawiec albo jakiś inny rzemieślnik, i usłyszawszy powód jej narzekań, powiada:

Nie troskajcie się, kumoleńko, ja was z tej waszej niedoli

wybawię, chłopca wezmę do siebie na naukę, a za trzy lata go wyzwolę, będzie pomocny sobie i waszym.

Ale to nie był żaden krawiec, ani jakiś inny rzemieślnik, tylko wielki, a zły czarnoksiężnik.

Kiedy te trzy lata się zbliżały, chłopiec, porządnie już podrosłszy, wyrwał się z jaskini swego niby majstra, a dręcyciela, i spotkał się z matką w lesie, do którego, jak zwykle, zachodziła po chróst, i tak się przed nią wysłowił:

Udacie się matko, do czarnoksiężnika i zażądacie, aby mnie od siebie uwolnił z tej jaskini, jako że trzy lata mijają i że ja sam mogę już być majstrem co się widzi. On mnie wypuści, bo tak obiecował.

Ale w jaki sposób

Zatrąbi na wszystkie cztery strony świata, iżby się mnogo zleciało gołębi, posypie im groszku i mnie, czarodziejską sztuką przemienionego w gołębia, każe wam wybierać z ich stada.

Nie bójcie się, matulu, poznacie mnie potem, że grochu jeść nie będę, jeno radośnie skrzydełkami zatrzepocę.

I to się spełniło.

Czarodziej syna oddał, a ten, powróciwszy do domu rodziców i ogromną nędzę zobaczywszy, ulżyć im postanowił.

Przedzierzgnę się — rzecze do nich — we wołu, krowę i owcę, zaprowadźcie mnie, jedno po drugim, na jarmark i sprzedacie. Jeno nie zaklinajcie mnie w konia z uzdą czy postronkiem, bo będzie nieszczęście.

Ale ojciec nie posłuchał, widno z chciwości, bo już myślał sobie, że jeśli za wołu, krowę i owcę tyle a tyle zarobi grosiwa, to za konia weźmie najwięcej.

Kupił konia ów chytry krawiec, czy inny jakiś rzemieślnik, czarnoksiężnik, w swej stajni mocno go do pustego żłobu przywiązał i bił co niemiara.

Rozplakał się raz gorzko biedny czeladniczek nad swoją niedolą.

Usłyszała ludzkie to narzekanie służąca czarownika i, strasznie się litując, łańcuch odcięła i konika zbiedzonego uwolniła.

A ten konik, z obawy, iżby go niedobry czarownik nie pochwycił, przemienił się w wróbla.

Widząc to czarodziej, stał się wroną i wróbla siarczyście ścigać rozpoczął.

W tej gonitwie zalecały te dwa ptaki w obejście królewskiego zamku.

Już — już miała wrona pochwycić i zadziobać wróbla, gdy ten zamienił się nagle w nietoperza, w mysi-królika.

Czarownik za nim, przedzierzgnawszy się w postać wróbla.

Widziała walkę tę piękna królowna, przechadzająca się po ogrodzie zamkowym, i wielce się nad ściganą ptaszyną litowała.

Czując jej miłosierdzie, mysi-królik przeinaczył się w te tropy w złoty pierścieniec i wskoczył na palec królowy.

A gdy królowna wróciła na pokoje, pierścieniec złocisty znikł jej z palca, zaś przed jej oczami dorodny stanął młodzieniec.

Opowiada jej o swych przejściach i mówi:

Nie popuści mnie zły czarnoksiężnik, zjawi się na królewskim dworzyszczu w postaci możnego księcia i o pierścieniec złoty poprosi, na znak, że niby o twoją rękę.

Ale ty pierścienia mu nie dawaj, jeno gdy bardzo nalegać będzie, klejnot zdejmij z palca i rzuć o posadzkę.

Ukazał się czarnoksiężnik z mnogą świtą, dłoń królowy ucałować chciał, przedsię królowna mu tego wzbronila, a gdy o pierścieniec natarczywie nalegać począł, rzuciła klejnot na ziemię.

Z tego klejnotu-pierścienia stało się nagle pełno grochu.

Zahuczał czarnoksiężnik trąbą miedzianą na cztery strony świata, zleciało się mnóstwo gołębi i groch ten wyjadło.

Ale jedno ziarno wsunęło się cudem do ręki królowy i szepnęło ludzkim głosem pięknej pani, iżby prasnęła niem o posadzkę.

I ziarno grochu przemieniło się w mnogie garście maku.

Czarnoksiężnik zatrąbił, a na głos tej surmy miedzianej przyfrunęły z czterech stron świata przeliczni wróblowie, jeli się do zbierania maku, a iżby im dopomóc, i sam czarnoksiężnik w żarłocznego wróbla się przedzierzgnął.

Widząc to mądry czeladniczek, sam sztuki czarodziejskiej świadom, przybrał na się postać wrony i wróbla-czarownika zagryzł i kości jego, a raczej kosteczki, po szerokim świecie rozprószył, iżby się nigdy już na szkodę, a utrapienia świata nie zrosły.

Podobało się to nadobnej królownie. Zakochana w czeladniku, przebrała go na prawdziwego królewicza i za męża sobie wzięła.

Żyli szczęśliwie długie lata ze sobą, aż przyszyła śmierć i pozostawiła o nich dobrą pamięć i tę przepowiednię, którą od innych zasłyszałem ludzi i wam, drogie moje dzieci, ku waszej rozrywce, a zbudowaniu dzisiaj powtarzam.

OCZY UROCZNE

W *Białym Dworze*, nad Wisłą, mieszkał pan, który miał oczy uroczone. Nieszczęśliwy był, bo na kogo oczy jego spojrzęły, przynosiły mu śmierć albo ciężką chorobę. Umierał człek, zdychało bydło.

Jeno staremu słudze nic złego „pan ten uroczy” nie czynił, gdyż tylko do niego szczerze był przywiązany.

Okna *Białego Dworu* patrzyły ku rzece, ku Wiśle, której wodami liczne płynęły galary.

Znali flisacy wieść o tych oczach urocznych. Unikali też widoku *Białego Dworu*, ażeby nie spotkać się przypadkiem z obliczem jego pana.

Ale jeden flisak zuchwał, nie sobie nie robiący z niczego, wtargnął do dworskiej komnaty i, spojrzawszy w oczy uroczne, ciężko zaniemógł.

Ledwie uszedł z życiem i, przerażony, przestrzegał swych druhów, iżby statki i łodzie skwapliwie od murów *Białego Dworu* odwracali.

Czyniła zresztą to samo jakaś niesamowita burza, która właśnie w tem miejscu zawsze się ku flisom zrywała.

Pewnego razu, w noc zimową, zawiejną, zapukał ktoś gwałtownie do bram zamkniętego zawsze zamku. Otworzono je i ujrzano skromną kolaskę, a w niej piękną dziewczynę z ojcem i omdlałą matką.

Przyjęto ich gościnnie, ucieszył się ich widokiem pan uroczny, na sam widok rozmiłował się w dziewczęciu i poprosił o jej rękę. Uzyskał ją z łatwością, jako że pan był możny, choć uroczny, ale władzę ponurych jego źrenic zabiła wielka radość, którą nagle uczuł, witając zbłąkanych podróżnych.

Nie długo jednak panowało wesele w *Białym Dworze*.

Służba, świeżo najęta, rychło uciekla, pani na bogatym łożu wiała się z boleści, nie przestając jednak błagać męża, iżby się od niej nie odwracał: ona wie, iż oczy ma on zabójcze, za bardzo go jednak miłuje.

Atoli małżonek spojrzeń jej unikał i jeszcze do większego poświęcenia się gotował.

Wyszedł dziedzic na *Białym Dworze* do ogrodu, przyległego do sypialni, i usłyszał nagle kwilenie. Urodził mu się syn

i pierwszym płaczem dał znak nowego życia. Kwileniu dziecka odpowiedział jęk ojca.

Wyłupił sobie oczy, iżby nie wyszły na szkodę nowonarodzonemu.

I tak się stało.

Wielkie poświęcenie ojcowskie przyniosło szczęście domowi

Wyłupione oczy, które złe rzucały uroki, zakopano w ziemi.

Syn rósł i ślepego, a ukochanego ojca prowadził za rękę po słonecznych komnatach, po wesołych dziedzińcach, po bogatych stajniach i owczarniach, po szumnych łąkach zbożowych, po łakach i gajach zielonych nad rzeką, nad Wisłą, niosącą wesołe statki ku morzu, ku polskiemu morzu.

Albowiem od tego czasu wszystko przemieniło się na dobre.

Jest pod *Białym Dworem*, nad Wisłą, krzyż, a pod krzyżem grób starego sługi.

Wygrzebał oczy swego pana i padł na miejscu. Dawniej mu oczy te nie szkodziły, bo pan go miłował i tą miłością łagodził złą ich siłę.

Teraz przecie wyłupione, samotne, wykopane z ziemi, jeszcze bardziej stały się zabójcze, jeszcze bardziej złowrogie

Taka jest dawna przepowiedzka o urocznych oczach i o miłości, która wąta jest bez poświęcenia, a to poświęcenie oby trwało na wieki.

PODANIE O PODZIEMIACH WAWELSKICH

Wiadomo nam wszystkim, jak chwalebne wrzało ongi życie na Wawelu, na zamku królewskim w Krakowie i jakie wspałałe legendy przylgnęły do tych murów. Wszakże tutaj bajeczny książę Krak olbrzymiego uśmiercił smoka i lud swój od strasznych wybawił spustoszeń; stąd córka jego Wanda

odrzucając rękę obcego przybysza Rytygiera, a nie chcąc, aby pomsta jego spadła na naszą ziemię, skoczyła do Wisły i w nurtach jej śmierć znalazła bohaterską. Wdzięczny naród, wyłowiwszy jej zwłoki, na płomiennym, wedle ówczesnego zwyczaju, spalił je stosie, popioły w urnie glinianej zamknął i pogrzebał, poczem wysoką, do dzisiejszego dnia widną wznosił jej mogiłę. Stąd mały wzrostem, lecz wielkim obdarzony duchem Król Łokietek wyruszył pod dalekie Płowce, ażeby upokorzyć śmiertelnego wroga ojczyzny; tu siedział potężny, a mądry Kazimierz, Piastowicz ostatni, który wznoszeniem zamków obronnych i grodów Polskę drewnianą przemienił w murowaną, budował szkoły, a przedewszystkiem słynną w późne wieki krakowską założył Akademię. Tutaj, w tych opuszczonych dzisiaj krużgankach przechadzała się smutna królowa Jadwiga, rozmyślając o dobru bratnich narodów i o ich połączeniu z Litwą.

Stąd jej mąż Jagiełło, umocniwszy się związkiem z Litwą i Rusią, a prowadząc dalej dzieło Łokietkowe, pośpieszył na czele swych hufców pod Grunwald i butnemu wrogowi ostateczną zadał klęskę. Tu żalosnem echem odbiła się wiadomość, o rycerskiej śmierci młodziutkiego Władysława, który ratując chrześcijaństwo, zginął na polach warneńskich.

Tu Zygmunt Jagiellończyk hucznie przyjmował weselem małżonkę swą Bonę; tu, na tych dziedzińcach, przesłicznymi uwieńczonych arkadami, rycerskim zabawiał harcem posłów cudzoziemskich, którzy przyjeżdżali, aby imieniem swych władców czołobitnie złożyć hołdy królewskiej jego potędze i królewskiemu jego rozumowi. Stąd bohaterski Stefan Batory prowadził zbrojne szyki na wschód, pod mury Pskowa, a Sobieski Jan pod Wiedeń.

Tutaj też, w podziemiach katedralnych, spoczywa zagasła ich chwała, w trumnach kamiennych czy śpiżowych, a obok

nich skrzynie ze zwłokami Kościuszki i Księcia Józefa Poniatowskiego i króla poetów naszych Mickiewicza, którzy po wielkich nieszczęściach Ojczyzny, imię nasze zachowali od zagłady, rozszerzyli je po świecie, opromienili bohaterstwem i za dalekie przenieśli oceany.

Dziś zamek ten stoi pusty, choć go zaczynamy dźwigać z upadku.

Czy jednak opustoszał naprawdę? Czy ci wielcy, w proch rozsypani mężowie, żadnego po sobie nie zostawili śladu? Czy żadnej niema już w nich zbawczej siły?

Dawna, bardzo dawna opowieść mówi o tem inaczej. Ci królowie nie pomarli, jeno w wawelskich chowają się podziemiach i na chwilę czekają godną, aby w potężnym stanąć ordynku i naród biedny a skołatany wybawić z nieszczęścia i niedoli.

Raz zpółnocka — mówi ono podanie — jeden z chłopów ze Świątnik pod Krakowem, mających od wieków strażowanie przy Katedrze wawelskiej, spostrzegł wielkie światło w krużgankach zamkowych. Myśląc, że jakaś zbrodnicza ręka podłożyła ogień, aby zatrzeć i te ślady dawnej świetności, pobiegł co tchu zobaczyć, co się dzieje. Nie był to jednak ogień lecz światłość ogromna, która biła od postaci przechadzającej się po pustych, królewskich komnatach. Chłop stanął jak wryty. Chciał uciekać — napróżno! Moc jakaś niezemska przykuła go, niby łańcuchami, do posadzki, skrępowwała mu kroki, ubezwładniła wszystkie członki. Stał w miejscu, jak umarły: tylko oczy miały cudowną siłę widzenia. Rycerz zbrojny, jaśniejący, rycerz starszy, z srebrną brodą, pływającą na srebrne łuski pancerza, pobrzękiwał ostrogami, głuche wywołując echo po zamczysku. Przechadzał się, milcząc, z miejscem wzniesionym do góry, jakby chciał pokazać, że bacznie strzeże chwały tego królewskiego grodziska. Lecz ilekroć

zbliżył się ku jakiejś komnacie, drzwi otwierały się po cichu i odrazu, jakgdyby różdżką tknięte czarodziejską.

Obszedłszy pokoje, ku świątnickiemu zwrócił się chłopinie i rzekł: „Pójdź za mną“.

Chłop poszedł, bo inaczej nie mógł, i za chwilę przekonał się, że w głębi ziemi, pod Wawelem, drugi znajduje się zamek. Takie same krużganki, takie same arkady i łuki, takie same izby, tylko bogate a strojne, z marmurowymi kominkami, z marmurowymi wspaniałe rzeźbionymi obramieniami drzwi i okien. Przy ścianach ławy i krzesła o wysokich oparciach i poręczach, wzorzystą obite materją, stoły ogromne, świeczniki, kandelabry i pajaki ze złota i kryształu.

Weszli do wielkiej świetlicy. Chłop, który piśmienny był i książkę niejedną o dawnych dziejach przeczytał, poznał odrazu, że to sala tronowa. Na podniosłych stopniach, drogocennym przykrytych dywanem, wspaniałe w złotej świetłości błyszczało siedzisko; z pod sklepień zwieszały się setki chorągwi, sztandarów, proporców i proporzyczków o barwach przeróżnych i przeróżnych znakach, łupy zwycięskie, w krwawych zapasach wojennych zdobyte na wrogu. Na ścianach pełno włóczni, dziurtyków, mieczy, szabel, tarcz, pawęży, szyszaków, kolczug i przeróżnej innej broni, innego mnóstwo rynsztunku. Wzdłuż ścian, wyłożonych różnobarwnymi płytami kamiennymi, stali zbrojni rycerze, młodzi giermkowie i w trudach bojowych osiwiali hetmani, na środku zaś sali przy stole niebywałych rozmiarów zasiadły postaci w królewskich, od klejnotów kapiących ornatach, w złotych koronach na głowach. Przed nimi na stole leżały berła i jabłka, oznaki władzy nad krajem.

Zanim jednak strażnik świątnicki miał czas przypatrzeć się wszystkiemu, a już owemu rycerzowi, który go do tej przyprowadził świetlicy, poważni wojewodowie zamienili

szyszak na koronę, ciężki płaszcz złotolity zarzucili na ramiona, podali mu berło i jabłko i na stolec tronowy go powiedli. A on, zasiadłszy, rozpoczął: „Słupy które wbijałem po rzekach dalekich, spieniona zabrała woda, o kamienne rozbiła brzegi, a szczątki, martwe świadectwa mojej chwały, poniosła w przepastne głębie morza.“

Na te słowa z głuchym szelestem poruszyły się chorągwie, sztandary i proporce; na ścianach tajemniczo zachrzęściły zbroje, a oni Królowie w kapach koronacyjnych, siedzący przy stole z berłem i jabłkiem przed sobą, odpowiedzieli, jakby łkając: Biada! biada! biada!

A gdy się uciszyło, moczars ów potężny mówił dalej: „Miecze, któremi uderzono w bramy grodów nieprzyjacielskich, pordzewiały, pokruszyły się; śladu niema z ich ostrza. Na polach, rozbrzmiewających niegdyś okrzykami triumfu, zapadły się mogiły wojów starodawnych, zorały je pługi i bronice, nie nasze!“

Z głuchym szelestem poruszyły się chorągwie, sztandary i proporce; na ścianach tajemniczo zachrzęściły zbroice, a oni królowie w kapach koronacyjnych, siedzący przy stole z berłem i jabłkiem przed sobą, odpowiedzieli wraz z wszystkim rycerstwem, jakby łkając: Biada! biada! biada!

I nastała cisza, a on znowu w te odezwał się słowa: „W zamkach i ogrodach, murowanych naszymi rękami, ucztuja nie swoi; dawną sławę naszą depcą i podają w pohąbienie uragliwi nieprzyjaciele; po całej ziemi jęk tylko idzie, płacz i narzekanie“. I znowu poruszyły się chorągwie, sztandary i proporce; na ścianach tajemniczo zachrzęściły zbroice, a oni królowie w kapach koronacyjnych, siedzący przy stole z berłem i jabłkiem przed sobą, odpowiedzieli wraz z hetmanami i giermkami i wszystkim rycerstwem trzykrotnem, łkającem: Biada! biada! biada!

„Ale“ — mówił dalej król Chrobry, bo to on był, nie kto inny — „z pośród okrucieństw zardzewiałych mieczy, z pośród zaoranych, trawą porośniętych mogił i kurhanów, z pośród jęków, trwóg i narzekań wyrasta święte drzewo nadziei. A gdy przyjdzie czas, otworzą się bramy tych podziemi i nowe pokolenia ku przyszłości powiedziemy słonecznej.“

Zaszeleściły chorągwie, zachrząściły zbroje, a królowie i rycerze, w podziemnej wawelskiej zebrani świetlicy, odrzekli uroczysto: „Co niech się stanie amen!“

Takie widzenie miał katedralny strażnik świątyni, kiedy raz nocą pełnił służbę na Wawelu.

PRZYPowieść o królewiczu KAZIMIERZU

Był w Polsce Król, nazywał się Kazimierz, a że od Jagielly pochodził, Jagiellończyka przydomek nosił.

Siedział ci ten Jagiellończyk na zamku krakowskim, na Wawelu, o szczęściu królestwa swego zamyślał, a że i synów sporo miał, bo sześciu, wychowania ich pilnował, iżby się do zacnych zaprawiali rządów, a w miłości ku swemu narodowi ćwiczyli.

Nauczyciela im dobrego dał, Długosza, z nim też nad uczonemi przesiadywali księgami albo nad Wisłę, nad polską naszą rzekę chodząc, czas na pięknych a mądrych rzeczach trawili. Wszyscy też wyszli na ludzi: jeden z nich koroną czeską i węgierską skroń swą przyozdobił, trzej niezgasłą sławę Jagiellonów na ojczystym gruntowali tronie, piąty kardynałem w Gnieźnie, na stolicy wojciechowej, siedział; ostatni

jeno, najmłodszy Kazimierz, jako i ojciec z imienia, zaszczytem wszelkim pogardził, nie za królewicza, a za prostaka się miał.

Od pierwszych też lat, kiedy w towarzystwie braci swoich pod opieką wychowawcy ulice Krakowa z ciekawości zwiedzał, najchętniej do ubożuchnych żaków się przyłączał i wielce się dziwując, że z glinianemi garnuszkami w rękę o krztynę ciepłej strawy dopraszać się muszą, sam po przyjacielsku jak równy z równymi, do drzwi mieszczan krakowskich kołatał albo z sobą na zamek ich ciągnął i ku rozradowaniu matczynego serca, czem mógł, ugaszczwał.

Miłosierny był nie tylko dla szkolarzy, lecz i dla wszystkich co żyją, a najwięcej dla ptaków, bo słuchać ich gwaru lubił. W wieczory majowe okna swej komnatki otwierał, ku lasom nadwiślańskim, światłem księżycy oblanym, spoglądał, śpiewy słowicze w młodocianą duszę chłonał i tak się niemi przejmował, że nieraz i wiersz sobie ułożył pod ich wrażeniem.

Żał mu się też robiło na sercu, kiedy nad Wisłą niesfornych spotykał urwiszów strącających gniazda wronie z drzew albo kamieniami rozganiających stada wróbli, które się na żer z wesołym zlatywały świergotem.

A już żadną miarą nie mógł pojąć, dlaczego człowiek drobne, pierzaste stworzonka więzi po klatkach, zamiast zostawić je na swobodzie, iżby zrywając się o świcie z popod miedzy, jak skowronki, wielbiły wschód słońca, umilały w polu pracę oraczowi, iżby siewcom plon wróżyły bogaty.

Jednego razu na podwieszeń tak mu się przydarzyło, iż wracającemu z braćmi z przechadzki zaszedł drogę chłopczyną, który za pazuchą coś starannie ukrywał. Ani on ani jego bracia nie byliby na to zwrócili uwagi, gdyby nie pisk, który dobywał się z pod kubraczka żakowskiego, pisk żałośliwy a smutny.

Przystanęli i zatrzymali chłopca, pytając się, co by takiego niósł. „Widno“, powiada królewicz, „dopuszciles się grzechu, boś się cały zapłonil.“ A on odrzecz, że nie, tylko na siłda ptak mu się złapał przedziwny, jakich dotąd w tych stronach nie widywał, i że go na Stradomiu albo gdzie i tam na Kleparzu dobrze sprzeda do klatki.

Kazimierz ulitował się w tej chwili, żakowi łów odebrał, po zapłatę mu do zamku przyjść kazał, ptaka osobliwego, przysiadającego mu na ręce, po szyjce i grzbiecie głaskać począł i przekomarzając się mówi:

Do klatki cię kochany ptaszku, zamknę, jeśli mi zaraz nie powiesz, jak się nazywasz.

A to stworzonko w ciemnozielonym płaszczyku podgarle do góry wyciągnę, dzióbek krótszy od główki otworzy i piśnie:

— Czaj — ka! Puść — mnie!

Królewicz puścił ją, czajka z krzykiem radosnym: Dzie — ki! ku łąkom nadrzecznym poleciała i w dalekich zginęła przestworzach.

Tej nocy mały Kazimierz taki miał sen: Zdawało mu się, że nie jak królewicz, ale jak pastuszek, chodzi sobie w samotnika po polach i lasach, po bagnach i rozległych, trawą i sitowiem zarosłych pastwiskach, myśląc nad tem, co w świecie jest najlepszego i dla szczęśliwości ludzkiej najpotrzebniejszego. Naraz słyszy z rozmaitych stron wołanie: Do — broć! Staje, rozgląda się, aż tu zlatują się takie same ptaki, jak ten, którego oswobodził z rąk chłopca, a jeden z nich przyfrunąwszy i usiadłszy mu na ramieniu powiada:

— Braciszku moi i siostrzyczki wysłali mnie, aby się przekonać, czy w kraju tym znajdziemy wypoczynek i gościnę. Dobryś jest, o królewiczu Kazimierzu! Uratowałeś mnie od kaźni albo i od śmierci; widzimy, ja i moja gromada, że nic złego nas tu nie spotka, bo w tobie mamy opiekę.

A na to Kazimierz:

Rad was oglądać będę do końca żywota; niczego też nie pragnę, a jeno tego, aby i moje odejście ze świata było dla was oznaką, że z cieplic bez szkody wracać tutaj możecie.

I tak się też stało. Po krótkim, ale świątobliwym, niezmierną dobrocią nacechowanem życiu umarł królewicz na podwieśnię, w marcu, kiedy od brzegów jezior, rzek i stawów odrywają się ostatnie krawędzie lodu, kiedy z pośród żółkłych kęp zaczyna się ku słońcu wychylać zieleń traw, a pracownicy ludzie wyjeżdżają w pole, aby pod świeży zasiew ojczystą przeorać glebę.

Naród do dziś dnia czci pamiątkę tego skonu i to w dniu, w którym z wesołym krzykiem: Tuś — my! przylatują czajki. Taka jest przypowieść o królewiczu Kazimierzu, którą od starych ludzi słyszał.

Jan Kasprzowicz.

CHORAŻY ZIEMI LWOWSKIEJ

Do ziemi naszej wtargnął wróg,
Zapucił swe zagony:
Jak okiem spojrzeć, szalał miecz,
Gorącą krwią zbroczony.

Jak okiem spojrzeć, smugi łun
Rozlały się wokoło:
Perzyną stał się głośny gród,
Perzyną ciche sioło.

Nad pustką łąnów wzbił się wrzask —
Kruki radośnie kraczą,

Że Śmierć szlakami świata mknie,
A za nią Lęk z Rozpaczą.

Jako pokosy padał lud
Albo jak sosny w lesie —
Snadź się już nigdy biedny kraj
Z tej klęski nie podniesie.

Ale nie zamarł jeszcze duch,
Piersi on rozparł znojne:
Kto żyw, w rycerski zwarł się huf,
Na świętą ruszył wojnę.

Kto żyw, w pogardzie życie miał:
Widząc przed sobą wroga,
Jedyną żywił chęć, by wraz
Żył Ojczyzna droga!

I nad rzekami krwi, gdzie snadź
Wszystka nadzieja zgasła,
Zmartwychpowstanny zabrzmiał dzwon
Tego wielkiego hasła.

Cuda sprawuje święta moc
Hasłami potężnemi:
Pieczęcią prawdy tej po wiek
Choraży lwowskiej ziemi.

Zamęt szalonej walki, wicher,
Co żąda pomsty dyszy,
Porwał go między wrogów kłęb,
Zdala od towarzyszy...

Spinał rumaka, w oczach rósł,
By widmo, skry jarzące
Krzesał z szablicy, tnąc tak w krąg
Z sztandarem pułku w ręce.

Spadły nań miecze... Rycerz on
Rycerskiej czci nie skłamię:
Utracił rękę, drugą w lot
Szczytne pochwycił znamię.

I tę mu również odciął wróg:
Z konia się, mdlejąc, zsunie
I sił resztkami w znaku swym
Tuli się, by w całunie.

Jak od lemiesza gleby zwał,
Odpadł w tej krwawej orce,
Lecz chwałą szumią po dziś dzień
Ojczyście mu proporce!

NAJŚWIĘTSZA RELIKWJA

Zjechali się przed kilkuset laty panowie polscy do Rzymu,
aby u Piusa V wyprosić sobie relikwie.

Życzliwie przyjął ich światobliwy papież, pochwalił, że
w celach pobożnych tak daleką odbyli podróż, w tej samej
jednak chwili zamyśliwszy się głęboko i spojrzawszy im w o-
czy, w te odezwał się słowa:

— Niemaloc ja się dziwuję, słysząc, jak żądają ode mnie
męczeńskich pamiątek przedstawiciele narodu, którego zie-

mia tak przesiąkła jest krwią, że wziąć jej grudkę do ręki i ścisnąć, to ręka ta purpurową zrosi się wilgocią.

Zakłopotanie odmalowało się na obliczach pielgrzymów polskich; pojąć nie mogli, iżby cud taki przywiązany był do ziemi, po której codziennie własnymi depcą stopami, iżby pola, sypiące im ziarnem, miały ponadto moc, przypisywaną kościom wyznawców, podniesionych do rzędu Świętych za wytrwałość w wierze.

Spostrzegł to papież i, chcąc im dopomóc do zrozumienia słów swoich poprzednich, dodał:

— Przynieście garść jej choćby z Sandomierza, z pod kościoła Panny Marji, a przekonacie się, co za przednią relikwję ta wasza ojczysta kryje gleba.

I wtedy dopiero przypomnieli sobie, jakto za panowania Bolesława Wstydlivego Tatarzy wpadli do Polski, taki naokół sięjąc postrach, że sam król, widząc, iż niema sił dostatecznych, by zbójcekiej tej nawale zwycięskie stawić czoło, na węgierską uszedł stronę. Wtedy dopiero uprzytomnili sobie, jak hordy pohanów, dotarłszy pod mury Sandomierza, z bohaterskim spotkały się oporem; jak ostatecznie, podstępem gród ten wzięwszy, w pień wycięły załogę i psom na pożarcie rzuciły ich zwłoki; jak gromadka ocalałych niedobitków zwłoki te pozbierała i z czcią największą na cmentarzysku świętomaryjskiem pogrzebla.

A już serce im rosło z radości, kiedy papież nadmienił, że doniosłość męczeństwa, poniesionego w obronie ojczyzny zrozumiał jeden z jego poprzedników na Stolicy Piotrowej, Aleksander IV. On to pamięć rycerskich sandomierzan obchodzić wiernym rozkazał, dzień 2 czerwca przeznaczając na rozważanie czynu, który w następstwie wieków miał tyle innych, równie wspaniałych, równie chwalebnych wydać owoców.

O CZŁOWIEKU ŁAGODNYM I ZWIERZĘTACH

Będzie temu lat przeszło siedmset, gdy pewnemu bogatemu kupcowi w mieście Asyżu we Włoszech urodziło się dziecko, które miało wielką stać się chwałą zarówno dla swej ojczyzny jak i dla całego świata.

Ów chłopaczek, dorósłszy, a chcąc się poświęcić dobru ludzkiemu, pogardził dostatkami ojcowskiemi, rzucił z siebie suknie drogocenne i podawany nieraz w pośmiewisko, w ubogiem odzieniu przebiegał miasta i wioski i mieszkańcom ich głosił prawdę świętą.

Nie potrzeba mu też było żadnych bogactw, bo miał słońce i gwiazdy, drzewa i trawy, rzeki miał i morze, ptactwo i inne zwierzęta. I tak się w nich rozmiłował, w tem słońcu i w tych gwiazdach, w tych lasach i w tych wodach i w tych zwierzętach, że nie inaczej, jak tylko braćmi swymi i siostrami twory te boże nazywał.

Zwłaszcza ptaszęta przypadły mu najbardziej do serca, a tak je, wędrując po puszczach oswoił, że i najdziksze przylatywały ku niemu i okruszyny chleba, którego sobie samemu skapił, spokojnie z ręki mu jadły. Co więcej, dobroć jego sprawiła, że obcowały z nim, jak ludzie, rozumiejąc każde jego słowo. Pewnego razu spotkał się Franciszek, bo tak mu było na imię, z młodym człowiekiem, niosącym gołębie leśne do miasta na sprzedaż. Zatrzymał go po drodze i powiada: „Źle robisz, mój chłopcze, że słodkie stworzenia te chcesz oddać na zabicie. Od dawnych czasów porównywano je z pobożnemi duszyczkami, przeto nie godzi się krwi ich niewinnej przelewać. Proszę cię usilnie, abyś mi je darował“. Młodzieniaszek usłuchał, a on turkawki te zgarnął do poły ubogiej sukni swej i tak do nich przemawiać zaczął: „Tur-

kaweczki lube, drogie siostrzyczki moje. Czemużeście tak wielce nieopatrne, że się chwytać dajecie w sidła? Ocale was od śmierci, zaniosę do boru, gniazda wam pobuduję, abyście mogły żyć bezpiecznie i swobodnie“.

I tak też uczynił.

A one ptaszęta, poznawszy w nim człowieka litościwego, tak się do niego przywiązały, że, ilekroć zjawiał się w tym lesie, w te tropy wszystkie go otoczą, radośnie bijąc skrzydełkami i dzióbki otwierają ze szczęścia, i póty ku gniazdom swoim nie ulecą, póki on im wyraźnie powracać nie każe.

Zdarzyło się innym razem, że zaszedł do pewnego miasta i tutaj na rynku rozpoczął zwyczajem swoim nauczać ludzi. Aliści zaledwie pierwsze wymówił zgłoski, zbiegła się moc jaskółek i wesołym świergotem jęła mu przeskadzać. Słuchacze, żądni jego słowa, zniecierpliwili się ogromnie i, czem kto mógł, ptaszki one rozgarniali. Nadaremnie. Odpędzić się nie dały. Wtedy on, zakazawszy ludziom wystraszać stworzonka Boże, sam się ku jaskółkom zwrócił i poprosił, iżby umilkły, gdyż pragnie Bożą wygłosić naukę. I jaskółki usłuchały go w jednej chwili. Do ziemi przypadły i dopiero, gdy skończył, z tym samym wesołym świergotem rynek opuściły. Zgromadzeni mieszkańcy wielce się temu dziwili i, szczególniejszą widząc w mężu tym łaskę, świętego w nim uznali.

Miał ten wybrany człowiek licznych już towarzyszy, którzy tak samo w skromności a miłości żyć chcieli, jak on. Otóż z tymi towarzyszami wyszedł raz na przechadzkę w pole, aby zobaczyć zachód słońca. Przystanął na chwilę i wpatrzony w krąg płomienisty, chowający się za krańcem ziemi, przemysliwał nad tem, jak piękny jest świat, jak wobec tych cudów wszystko w zgodzie żyć powinno, i ludzie i rośliny i zwierzęta, jak usunąć chciwość i zbytne dobijanie się o bo-

gactwa, jak zapobiec wojnom i wszystkim innym kłótniom i sporom. Tak dumając, ujrzał na topolach przydrożnych i wierzbach niezliczoną chmarę ptaków. Wzięła go ochota pogwarzyć sobie z niemi. Powiedział więc do swoich druhów: „Zostańcie tu, na drodze, a ja pójde w pole i przemówię do tych naszych braciszków i siostrzyczek“.

Poszedł i, stanąwszy na środku ścierniska, począł kazać do ptaków. W tej chwili zleciały się i te ptaki, które przedtem widział po topolach i wierzbach, i wiele, bardzo wiele innych z pól, łąk, lasów i wszystkie, z miejsca się nie ruszając, słów jego słuchały. A on tak do nich kazał: „Najdroższe rodzeństwo moje, wy ptaszkowie polni i leśni i wy, co gnieździecie na bagnach, i wy od jezior, rzek i gór. Wdzięczni bądźcie Stwórcy i chwalcie Go zawsze i wszędzie, albowiem od Niego wszelkie otrzymujecie dobrodziejstwa. Od Niego macie swobodę latania, gdzie wam się żywnie podoba; On dał wam upierzenie, iżbyście zimna nigdy nie zaznały; On wam obszary powietrzne przeznaczył na państwo, drzewa stworzył góry i doliny, gdzie się chować możecie. Żadne z was ani orze ani sieje, a jednak karmi macie dosyta i napoju wam w rzekach, jeziorach, w źródłach i krynicach nie zabraknie. Ani też prząść ani szyć nie umiecie, a przecież wam i dzieciom waszym Wszechmiłosierny, Wszechdobry Stwórca dostatni sprawia przyodziewek. Przeto wy, moi braciszku, i wy, siostrzyczki moje, uwielbień Mu nie skąpcie, iżby nie dopuścić się grzechu niewdzięczności“.

A jak owe turkawki, które wybawił od śmierci, tak i ta rzęsa jęła trzepotać skrzydełkami, wyciągać dzioby, chcąc przez to pokazać, że słowa jego zrozumiała i że jej wielką sprawił radość. A ku gniazdom swoim na nocleg dopiero wówczas, prześlicznie śpiewając, uleciała, gdy jej słodki ten

przyjaciół ptaków i wszelkiego stworzenia Bożego pobłogosławił.

Dobroć jego i łagodność okazała moc swą i nad wilkiem drapieżnikiem.

W okolicy pewnego miasteczka, do którego przybył Franciszek z Assyżu, straszne grasowało wilczyisko, bijąc nie tylko zwierzęta lecz i pożerając ludzi. Zbrojne na dziką bestję czyniono oblawy, na nic to się jednak nie zdało. Kiedy mieszkańcy, doprowadzeni do ostatniej rozpacz, nigdzie ratunku już nie widzieli, stanął przed nimi ów mąż łagodny i miłością do wszystkiego, co żyje napelniony i rzekł: „Nie lękajcie się; pójdźcie za mną, ja go uśmierzę“.

Wyruszył z wielką rzeszą ku puszczy, skąd wilk na krwawe wypadał rabunki. I teraz, ujrawszy Franciszka, poprzedzającego swoich towarzyszy, wybiegł z gestwiny i z otwartą paszczką rzucił się prosto ku świętemu. Lecz ten się nie przeraził, tylko dobrotliwie do niego, jak do człowieka przemówił: „Bracie mój wilku; rozkazuję ci, abyś się pohamował i krzywdy nikomu nie wyrządzał“. I o dziwo! Na to upomnienie wilk nie postąpił ani kroku. Słuchał dalej. A Franciszek odezwał się jeszcze w te słowa: „Widzisz bracie mój, wilku, szkody czynisz straszliwe, rozszarpując nie tylko zwierzęta, ale i ludzi, stworzonych na obraz i podobieństwo Boże. Złodziej jesteś, rabuś i morderca godzin szubienicy. Nie masz przyjaciół w tym kraju, boś jego wrogiem. Upamiętaj się, a ja pokój wprowadzę między tobą a ludźmi; nikt na ciebie nastawać nie będzie, oblów wszelkich zaniechamy. Przrzeknij mi bracie wilku, że odtąd żyć będziesz inaczej“.

Tak przemówił do niego, a wilk zaczął kręcić ogonem i ruchem ciała i spojrzeniem dawał do poznania, że go rozumie i rady jego posłucha. Wtedy Franciszek dodał: „Posłuszny

jesteś memu słowu, bo to słowo Boże, miłości pełne. Wiem, żeś tych zbrodni dopuszczał się z głodu; dlatego obiecuję ci, że gdy rabunku i krwiożerstwa zaprzestaniesz, głodnym nigdy nie będziesz. Dostarczę ci jedzenia do sytości. A na znak, że prośba którą zanoszę do ciebie, bracie mój, wilku, nie jest daremna i na przymierze z nami podaj mi łapę swoją“. I wilk ku zdumieniu wszystkich łapę mu podał, za Franciszkiem do miasta, jak pies najwierniejszy, poszedł i od tej chwili wśród mieszkańców przebywał, nikomu nic złego nie czynił, z dziećmi na rynku wesoło się zabawiał.

Tak łagodność i miłość wszelkiego stworzenia i najkrwawszego pokona potwora.

O ŚPIĄCYCH RYCERZACH W TATRACH

Przewędrowałem w życiu wiele świata, góry widziałem niebotyczne, pokryte nie tającami nigdy lodami, widywałem rzeki tak szerokie, że trzeba całej niemal godziny, aby łodzią przepłynąć z jednego brzegu na drugi, siadywałem po dolinach tak cudnych, że ziemia wydawała mi się rajem, patrzyłem na tęczę, które tworzą się w rozbitej na drobne pyły fali ogromnych wodospadów, a przecież tęsknota moja nigdzie nie znajdowała takiego ukojenia, jak w naszych Tatrach.

Urok posiadają niewypowiedziany te nagie, granitowe szczyty, te ciemne lasy świerkowe, od wieków ludzką nie tknięte siekierą, te kępy kosodrzewiny, rosnące na zielonych upłazach, te szumne, głośnie siklawice czyli potoki, po stromych spadające głazach, te turnie w przedziwne poszarpane kształty, te bujne trawy, te stada pasące się latem po halach,

ci bacowie i juhasi, to jest pasterze i pastuszkowie, strzegący owiec po murawach lub pod wieczór spędzający je do ogrodzisk.

Słońce tu świeci tu promieniściej, wichry szaleją potężniej, mgły przewalają się kłębami tak potwornymi, że zda się nieraz, jakoby chciały te wszystkie góry naokoło przygniść, zmiażdżyć wilgotnym ciężarem.

A przytem pełno tu jest opowieści, których człowiek radby słuchał bez końca, tak są piękne i tak głęboką myśl nieraz ukrywają w sobie. Zapewne nie ja sam, lecz także wielu innych wędrowników po górach lubi najbardziej dolinę Kościeliską.

Przed laty, zawitawszy do niej po raz pierwszy, stanąłem na moście, rzuconym przez potok, i przyglądałem się rycerzowi wykutemu w szarej skale. W szyszaku na głowie, ze skrzydłami u ramion, z mieczem w ręku, pochylił się ten kamienny bohater i śpi.

Zadumawszy się nad tą postacią, anim spostrzegł, kiedy za mną stanął długowłosey, osiwały góral i rzekł:

— Przypatrujcie się, panie, tej postaci, a pewno nie wiecie, co oznacza. Wykuli ją tu na pamiątkę, że w tych skaliskach, w wielkiej, by kościół, pieczarze, uśpione leży wojsko. Podobno polskie, a przywędrowało tu od Krakowa, czy gdzieś od Poznania i Gniezna. Przewodził mu król znamienity, przesławny; od naszych dziadów i pradziadów mamy wieści, że nazywał się Chrobry. Za naszej pamięci nikt tego wojska tu nie ujrzał, bośmy jeszcze niegodni lecz przed wiekami był tu we wsi Kościeliskach czy też Zakopanem mały chłopaczek, który na lato wyganiał stado ojcowskie do tej doliny na pastwisko. Owce szczypały sobie trawę, pilnował ich biały, piękny pies owczarski, a chłopiec, że był zręczny i niesłaby, wspinał się po tych skalach, zrywał

szarotki i dzwonki, czasem i korzeń goryczkowy, dobry na leki, z pod ziemi wygrzebał, przeróżne też napotykał jaśkinie, do których przed nim nikt jeszcze nie dotarł.

Pewnego razu zabląkał się w ustron nieznaną, niedostępną, w strasznie czarne urwiska, oślisze od wody śniegowej, strzelające ku niebu z pośród gęstwi kosodrzewiny, siwych świerków, drobnych żwirów i takich złomów kamienistych, że i sto koni nie ruszyłyby ich z miejsca. Rozejrzał się naokoło. Wszędy pustoszą; ani śladu ścieżynki, którą przed chwilą przebył. Z początku przeraził się, ale po chwili pomyślał: „Kiedym tu doszedł, to i wrócę, jak nie tą, to inną drogą.“ I aby dodać sobie odwagi, a może i z uciechy, że z tej wyżyny ujrzał całą dolinę, wartkim przeciętą potokiem, a poza nią wszędy i wzdłuż wszystkie niemal szczyty, jakie są w Tatrach, huknął na góry, na lasy, huknął raz i drugi. Odezwało mu się echo. Huknął po raz trzeci i skamieniał. Zdało mu się, że słyszy organy, które jakby grały wewnątrz turni. Bywał nieraz w kościele w niedalekim Chocholowie albo i w Czarnym Dunajcu, — w Zakopanem świątynia Boża wówczas jeszcze nie istniała — ale równie potężnej muzyki nigdy jeszcze nie zasłyszał. Mury rozwały się od takiego głosu; chyba na dziesięciu albo i na stu zagrano mu organach. W tej samej chwili rozstąpiły się głazne ściany, z przeraźliwym rozwarły się trzaskiem i łomotem i przed oczami pastuszka niewidziane wyrosło zjawisko: olbrzym, cały zakuty w zbroję, z szyszakiem na głowie, ze skrzydłami u ramion, z ogromnym, prostym, szerokim mieczem w dłoni. Stał ten rycerz w słońcu, jak w złocie, i zawołał: „Kto ośmiela się budzić nas ze snu wiekowego? Czy nadszedł już czas?“ Ale chłopiec, oniemiały z przerażenia, odpowiedzi żadnej dać nie mógł, bo też i pytania tego jeszcze nie rozumiał. Rycerz zaś, spostrzegłszy jego przestrach, powiada: „Nie

lękaj się; nie ztego ci nie uczynię, bom nie zbójnik, tylko wojownik, który krew przelewał za ojczyznę, a potem razem z towarzyszami przyszedł w te skały na sen wiekowy, aby się zbudzić do życia, gdy ludzie staną się tak dobrzy, jak ty — bo widzę, żeś jest dobry — gdy nabiorą takiej wiary i mądrości, że już nie będą mogli znieść jarzma, co ich gniece. A gdy do tego dojdzie, wówczas zjawi się taki drugi chłopaczek, jak ty, wybrany z tysiąca albo i z miliona, bo musi być najgodniejszy, zapuka do bramy złocistej i wielkim zawoła głosem: „Wstańcie, rycerze, ze snu wiekowego, wstańcie i spłynięcie w doliny pomiędzy ludzi, którzy stali się już dobrzy i mądrzy i wielką mają wiarę, a pod panowaniem złego żadnym sposobem żyć już nie chcą dłużej! Wstańcie, rycerze skrzydlaci, podobni do aniołów z nieba!“ My to usłyszymy i uwierzmy, gdyż skłamać — on nie skłamię! Rumaki nasze zeprzemy ostrogami i z dobytym mieczem w dłoni popędzimy w świat, jak wichur, jak burza. Zerwie się naokoło szum ogromny. Świerki, jak rzysko, łamać się będą pod kopytami naszych wierzchowców; wielkie głązy polecą ze szczytów, jak drobne kamyczki. Potoki i jeziora podniosą się ze swych łóżysk i lejów, mgły się zakłębią tak, że świata z pod nich widać nie będzie. Całe niebo i ziemia zatrzęsie się od grzmotów; błyskawice krzyżować się będą, jak miecze ongi zastępów niebieskich, co walczyły z szatanami, pioruny walić będą bezustanku, przestach pójdzie po wszystkim, co żyje, lecz potem nastanie spokój. Gromy ucichną, potoki i jeziora ułożą się w błękity, mgły w srebrną przemienią się rosę, błyszczącą na trawach i kwiatach i iglicach drzew świerkowych, złote na niebie zajaśnieje słońce, a ludzie, zbawieni z niewoli, pieśni radosne zaśpiewają i dziękować będą niebiosom za cudowne zwycięstwo.“

Tak mówił rycerz. A pastuszek słuchał tego, jakby dziwnie; upadł przed nim na kolana i rzecze: „Udam się między ludzi, pójdę, choćby na krańce świata i obwieszczę im, com słyszał. A chciałbym też zdobyć taką wiarę i taką mądrość, iżbym ich mógł tej wielkiej wiary i tej wielkiej mądrości potrzebnej do wyzwolenia nauczyć.“ Podniósł go wojownik z ziemi i rzekł: „Dostąpisz jeszcze tej łaski, że zobaczysz nas wszystkich razem, abyś do ludzi, braci swojej, zawołał: Wierzcie mi, bracia moi, bom zbrojnych mężów tych na własne widział oczy.“

I z temi słowy powiódł go do jaskini napelnionej światłością. A jaskinia była tak rozległa, że kilka godzin nie wystarczy, aby ją przejść, stokroć obszerniejsza, niż ona grota w Kobylim Wierchu na Spiżu, pod Białą. Ściany powyżłabiane w najdziwniejsze kształty, nito kwiaty, nito drzewa, nito ściekające fale, nito figury precudne. Z góry zwieszały się jakby w kamień obrócone złotogłowia, co to ich pełno rośnie w Tatrach, albo paprocie przeróżne i inne zioła; z ziemi wyrastały żółtawe, przejrzyste, niby alabaster, głązne pnienie, jakby jakichś świerków odartych z gałęzi, a tak dźwięczące, że kiedy rycerz, co wędrował z pastuszką, dotknął się ich przypadkowo, to po całej jaskini rozległo się najgłośniejsze brzmienie organów.

Przebyli kilka kruzganków, natrafili na kaplice, na ołtarze ze złocistego głazu, na skamieniałe wodotryski, na błękitne jeziora i stawy, a w niektórych miejscach jakby na nagrobki, rozrzucone po cmentarzysku, aż wreszcie wkroczyli do sali tak wielkiej, że jej okiem nie wymierzysz.

I tutaj ów pastuszek, już ośmielony, ujrzał przed sobą obraz, jakiego ani przedtem ani potem nigdy w życiu nie oglądał. Nieprzeliczone rządy rycerzy w hełmach i zbrojach pozłocistych, ze skrzydłami u ramion, z szerokimi mieczami

w ręku, na pięknych siedziały rumakach, przyodzianych kosztownymi kobiercami i skórą z lampartów, lwów i tygrysów. Na łbach konie te miały pęki białych piór, a podkowy ze złota.

Na widok rycerza-wartownika przeszło drżenie po szeregach, konie zaparskały, a ona zbrojna husaria poprawiła się na siodłach, wysadzanych turkusami; nie odezwał się jednak żaden głos, tylko wszyscy, z wodzem królewskim na czele, pytające w przybyłych wlepili spojrzenie. A gdy rycerz krótkie rzucił hasło: „Jeszcze nie!“, odrazu bojowe hufy te skamieniały: przytulone do karków końskich na nowo zasnęły i śpią tak od wieków.

Zasię z chłopaczkiem stało się tak: Rycerz, nim zasnął, kazał mu tą samą drogą wrócić na świat. „Nigdy już tutaj — powiedział — nie będziesz, miejsca tego nie szukaj, bo go nie znajdziesz.“

Z trzaskiem zawarła się za pastuszkim złocista brama, zapadła się odrazu w ziemię, skały się spoiły, owinięte kosodrzewiną i świerkami, i błyszczały na nich dalej szarotki i dzwonki.

Zeszedłszy ku stadu, które pasło się, strzeżone przez pięknego, białego psa owczarka, pastuszek przemysłował nad tem, co widział i słyszał, i naprzód wiadomość o wszystkim dał ojcu, że musi iść między ludzi i uczyć ich wielkiej wiary i wielkiej mądrości, aby wszystko spełniło się tak, jak mu rycerz o tej świętej godzinie wyzwolenia wyprorokował. A ten, ponieważ dobry człowiek był, powiada: „Snać jesteś w łaskach u Boga, boś na własne oczy oglądał i na własne uszy posłyszał, co my tylko ze starodawnej znamy opowieści. Ale jakże ty ludzi będziesz uczył wielkiej wiary i wielkiej mądrości, kiedyś sam tego nieświadomy? Do szkół pójdziesz, oświecenia nabierzesz, a potem głosić będziesz tę cudną prawdę.“

I tak było.

Pastuszek wyrósł na mędrca, a że dla siebie nic nie pragnął, jeno chciał żyć dla drugich, udał się w świat, w miasta i wioski i naprawiał ludzi. Siły jednak za mało posiadał, a życie za krótkie, iżby wszystkiego dokonał. Poszły za nim tysiące i pójda jeszcze tysiące, ale póki wszyscy do ostatniego człowieka nie przejmą się jego nauką, nie spełni się proroctwo o śpiącym wojsku. Myśmy dotąd jeszcze niegodni; nie wiemy na pewno, w której skale cud się ten mieści, lecz mamy nadzieję i ufność, że już niedługo mądrość i wiara w wyzwolenie po świecie się rozkrzewi i że wtedy natchnie Bóg takiego chłopaczka, jak tamten, że chłopaczek ten znajdzie ową jaskinię, do bramy złocistej zapuka i będzie mógł śpiącym rycerzom słowo powiedzieć niekłamliwe: „Już czas!“

O KRÓLU WĘŻÓW I O WALECZNYM A CZYSTYM MŁODZIEŃCU PERŁOWICU

Mam dla was opowieść, którą kiedyś posłyszałem w Tatrach. Gwarzyli mi o starodawnych dziejach bacowie i co przedniejsze juhasy, wypasający owce swych gazdów w dolinie Chocholowskiej czy w hali Smytni w Kościeliskach. Najwięcej jednak lubował się w nich Tomek Gadeja z Gronika, chłop, jak się patrzy, który ponoś w oczy zaglądał niedźwiedzim, kiedy górą a przełęczami na węgierską stronę z gośćmi jako przewodnik albo i za zarobkiem chodził. On też od najpierwszych lat z osiwiłymi bywalcami się stykał, z płomieniami w oku mądre ich rozmowy chwycił, w mózgu je własnym przeważał potem innych, przyjaciół i druhów, raczył temi skarbami.

— Drzewiej — powiada jednego razu do mnie — działa się lepiej; ludzie wielką mieli siłę przez to, że zamłodu niewinni byli jak lilije, a siły, tej walecznej mocy swojej, używali jeno poto, ażeby ratować bliźnich. Widzicie — mówi — te Tatry? Milami ciągną się zielonym lasem podszyte. Na chmurnych wierzchołkach ich pobłyskuje śnieg bielutki, jak mleko albo i ruń jagniąt-niewiniątek, we wnętrzu ich piękne, niby pawie oka, lśnią się jeziora. Po graniach skaczą kozice, świstaki w dolinach kamienistych poświsują, orzeł szybuje nad Wołoszynem. Gazdowska chudoba spokojnie po zboczach i upłazach szczypie trawę, głos śpiewających pastuchów rozlega się naokoło, rozciągają go echa po górach, jak najdźwięczniejsze grające organy. Tak oto jest dzisiaj. A że tak jest, stało się to za sprawą pewnego młodzieńca, który przez to, że był niewinny, znamienitej, niezwykłej potęgi nabrał i nie tylko swoich, ale i nas wszystkich od srogiego a krwawego ucisku oswobodził.

A szerzył go groźny król węzów, który za czasów niepaństw olbrzymiem cielskiem swym na skalnych grzbietach tych się wylegiwał, w słońcu się grzał, oczekując, aż mu wysłańcy jego, czarni rycerze, łupy zrabowane na pożarcie przyniosą. Rycerze ci co chwila z gór na czarnych rumakach zbiegali, ogromne w całym kraju spustoszenie czynili, traktując nie tylko zbożem posiane łany, wszelki unosząc dobytek, ale nie przepuszczając i ludziom. Niedola zapanowała taka, że jej nie pisać. Pod kopytami trzęsła się ziemia, a powietrze zamgliło się od gęstej piany, bryzgającej wokół z ognistych, rozwartych nozdrzy piekielnych bachmatów. We mgle tej chronili się mieszkańcy miast i wsi, gdzie mogli, płacząc i narzekając, włosy sobie z głowy wydzierając. Ale zbrojny hufiec strasznego gada do najodleglejszych docierał kryjówek, palił po drodze i rabował, gruz i pogorze-

liska zostawiał za sobą. Ze szczytów tatrzańskich przyglądał się temu król węzów, przyglądał się bez ruchu, w brylantowej koronie na skroniach, płaszczem z łusek srebrnych przyodziały, po turniach, od Murania aż po Osobitą, rozlewając się kręgami swemi, niby skrząca się w blaskach lipcowego południa niesłychana jakaś rzeka. A tylko, kiedy ze zdobyczą jawili się rycerze, rykiem przeraźliwym, od którego granitowe drżały zręby, zwoływał ku sobie wszelkie płazy, wszelkie dzisiaj już zaginione potwory, żarłoczne, siedmioszyjne smoki i w ich kole biesiadować począł, krwawicy ludzkiej nie żałując ani sobie ani swym towarzyszom. W kraju nie było żadnej porady. Głód, mór i pożoga wyludniły, zburzyły wsi i miasta. Pola, niegdyś kwitnące, miodem i mlekiem płynące, w głuchą zamieniły się pustynię. Zdawało się, że trzeba będzie wyrzec się życia na zawsze. Po kościołach, przy krzyżach przydrożnych śpiewano litanje, gorące zanoszono modły, iżby Bóg się ulitował i zbawcę jakiegoś wśród nieszczęśliwych niedobitków obudził.

W pewnej wsi na Podhalu rósł tedy chłopaczek, którego zwano Perłowicem, ponieważ duszę miał czystą, jak perła. Owce rodzicielskie wypasywał po łąkach, pociechą był, tylko radości żadnej w sercu nie zaznał, bo niemal już od dzieciństwa trapiła go troska, dlaczego takie klęski na ludzi padają. Spozierał też ku Tatrom, które od Murania aż po Osobitą opanował tajemniczy król węzów, a i nad tem jedynie przemyślał, jakby potwora tego sprzątnąć ze świata, jakby jego pomocników, czarnych rycerzy, raz na zawsze pobić i na ziemię rajski, błogosławiony sprowadzić spokój.

Nikt nie zgadnie, jakimi drogami Boże chodzą zamiary, kogo sobie za narzędzie swe obiorą. Los padł na Perłowica.

Jednego razu, kiedy tak dumiał ze smutkiem a załem wpakowany w diamentową koronę i srebrnołuski płaszcz nieprzy-

jaciela, wystrzelił przed oczyma jego ni stąd ni zowąd kwiat lilji i niby ludzkim, a jednak nie ludzkim, a raczej anielskim zawołał ku niemu głosem: „Wiemci ja dobrze, jedyny mój Perłowicu, o czym marzysz. Bądź czysty i niewinny, jak ja, biała lilija, a spełnią się twe marzenia. Moc poczujesz w sobie nadziemską na ciele i duchu; króla węzów przewycięzys i swoich raz na zawsze od jego zbrojeckiej władzy wybawisz. I nie trzeba ci będzie żadnej wojennej broni ani miecza ani strzelby. Chodzącemu w zbroi niewinności i pręt osikowy wystarczy; o, ten — widzisz — który leży pod tą skałą.“ Perłowic, nie mogący wyjść z podziwu, chce do ręki gibką wziąć gałązkę; daremne jednak wysiłki. Ciężka, jak ołów! Nie udźwignął... Zasmucił się, lecz w te tropy ten sam znowu usłyszał głos, niby muzykę zaczarowanych jakichś skrzypiec: „Przyjdzie czas; udźwigniesz ją,“ — odezwał się głos lilji — „udźwigniesz po latach, gdy, wypełniając mój przykaz, udowodnisz życiem swoim, żeś pozostał bez grzechu. Przychodź tutaj codziennie i próbuj swej siły.“

I tak się też stało. Dzień mijał za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Młodzieniec zjawiał się pod skałą, osiczyne do góry podnosić próbował, ale długo, bardzo długo bez skutku. A tymczasem panowanie króla węzów, srożyło się, jak nigdy. Lud był w rozpacz; jeden Perłowic nadziei nie tracił i mówił: „Jakżeż to ma być, iżby złe trwało bez końca? Nie napróżno wlał Bóg w serce człowieka otuchę.“ Za tę wiarę swoją został też wynagrodzony sownicą. „Próby ciężkie przetrzymałeś“ — rzekł doń pewnego dnia cudowny kwiat lilji, błysnąwszy mu przed oczyma. — „Chwyćże pręt ten do ręki i idź na wroga...“ I o dziwo! Pręt był już lekki, a najtwardsze głazy na żwir rozbił drobniutki. Czuł dorodny Perłowic, że z chłopięcia na nieustraszonego urósł mężczyzną, czuł, że niema takiej potęgi, by mu się oparła.

Co tchu ruszył ku Tatrom, które od Murania aż po Osobitą przyginał cielskiem swoim król węzów. Przez gęste, nieknięte siekierą przedzierał się lasy; zastępowały mu drogę od gromów lub wichrów halnych powalone pnie odwieczne, on je rzucał precz przez siebie, niby lekkie jaworowe listeczki. Z wielkiej radości, że ma się zmagać z śmiertelnym nieprzyjacielem świata, a chcąc przytem nie stracić pewności, że nie opuściła go moc jego nadziemska, podarunek kwiatu lilji, drzewa niebotyczne wyrwał z korzeniami, niby bajeczny Wyrwidąb, który całe bory pokotem kładł. Drogę zastępowały mu głazy granitowe, mchem obrosłe olbrzymi, a on, jak Waligóra, ciskał je precz od siebie i szedł pełen wiary w swój triumf, w triumf dobrej sprawy.

Dotarł aż pod samo obrzeże Tatr. Zmęczony był, rad więc zapukał do ukrytej w gąszczach chaty, prosząc o nocleg. Ale w chacie tej mieszkał góral, który jednak nie był góralem, jeno przeraźliwym, o ludzkiej postaci smokiem. Strażował on przy wejściu do królestwa, w którym w diamentowej koronie i w srebrnołuski płaszcz odziany władał wszechwładny gad... Chcąc dostać się do jego dziedziny, do wnętrza Tatr, trzeba było uśmiercić smoka. Zamierzył się Perłowic swą laską, potworowi łeb strzaskał i ujrzał, jak ten, zdychając, w ogromną zmienił się górę zwaną dzisiaj Wołoszynem. Uporawszy się z tem dziwem, z tym strażnikiem, kroczył dalej, aż cudne przed sobą zobaczył jezioro: Morskie Oko. Dziwiły się przeróżne poczwary, że między ludźmi znalazł się śmialek, który wdarł się w te dotychczas niedostępne pustynie i dzikim mieszkańcom zakłócił ich spokój. Widząc jednak, że mocy jego oprzeć się nie zdołają, skamieniały z przerażenia i do dnia dzisiejszego jeżącemi się grzbietami trwożą ludzi wątłej duszy. Nareszcie dognał samego króla i wszczął z nim walkę na śmierć i życie. Walił w niego czaro-

dziejskim prętem, podarunkiem kwiatu lilji, pędząc go poprzez wierchy. Król węzów, krwawy prześladowca plemienia ludzkiego, widząc, że przed nim się nie ostoï, w błagalne uderzył prośby, skarby mu drogocenne przyrzekał, a nawet córkę, nadobną księżniczkę, w małżeństwo dać mu się skłaniał, byleby tylko zaznał folgi od niego. Ale bohater przepuścić się nie pozwolił, blichtrzem wszelakim pogardził i z królem węzów się mocował, patrząc, jak srebrna łuska skóry jego, pod razami oddzielając się od cielska, w błyszczący zmieniała się lód, jak potwór ten, czując wieczną nad sobą przewagę, z wielkiego bólu wrył się w ziemię, zakopał się w miejscu, gdzie dzisiaj Zakopane, ażeby już nigdy w słońcu się nie wygrzewać, poczwara swoich na mordowanie ludzi okolicznych nie wysyłać.

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o zwycięstwie tem po świecie. Z miast i wsi wyruszały procesje na powitanie Perłowica, wielkie też zwołano wiece, na których uchwalono ogłosić go królem. Ale on godności żadnych przyjąć nie chciał bo — powiada — „nie mnie się należy podzięka, jeno cudownemu kwiatu lilji, który mi świętą powierzył tajemnicę, jak się cudotwórczą zyskuje potęgę, jak się świat wybawia od złego“.

IV. FEJLETONY Z TATR

Tatry wy moje!

Zalubić się można we wàs! Hodziłec-ci ja po więksyk górach, widziałek wielokazne śniegi i lody, co ik nie wrąbać, hociajbyta ludzie tysioncami rąbali sto lät a moze i węcyl, ale skotwielo mi się za wami i przyjechałec, coby wàs użréc, pogwårzyć jak z przijacielami, bo wy przijaciele nàserdeczniejse, Tatry wy moje!

Mocàrny jest duk, co siedzi we wasyk wiérhak a halak, co ozkazuje smrekom a skwiérkom, zeby sumiały w ludzkie serca smętnom śpiewankom — haj wyléwiajom te smreki, wyléwiajom! a siklawicom, zeby grzmiały po skałak głosem dalekik casów, kié na świecie beł ino Bóg, turnice, pustaci a bory!...

Robielo się dobrze na wnęku, kié za Nowym Soncem dësc przestał prac, i słonecko śmiać się zaceno bez kunary.

Myślółek se: rãz przecie wjadem w Zakopane bez psoty, przji pogodzie. I nie omyliłec sie. Banowałec k radości, kié z Habówki wjechalimy na Obidowom, na hore, skond Tatry juz widzić.

Nie cekajoncji, z wozu źlãzek i z górãlem, z Gonsienicom Ciulãcem, poselek przji koniak, coby i na Tatry śleobodnie spoziérãć, bo płótno na budzie zawadzowało, i coby ulzyć hudobnym koniom, jakoze im pod wiérh strasnie ciężko iść, a cłek zawse sie wyãjdã, zawse wytrzymia. Tak.

Ale co sie nie stało, hory były doimentu w mgłak, ze wy-

glondały jako cårny wål, nijak nie rozeznać ani juhasika Gewonta, ani gaǳziny Świnicy, ino końdek zabielił się Hawrań i Murań; bo zahód nanika pod promieniami. A na jednym hore, co jom bëło użrzeć od wiérhu, pedział Consienica Ciulac, ize to Lodowy, nàstarsy baca gazdy Gerlaka.

A kany Kosystà? kany Grànaty a Kościelce? kany Krzji-wań? Nie uwidzić ik! Tak sie zlały w jeden długi, barz długi obłok, połyskujoncy w tyk mgłak cienkimi rysami śniegu, co go słońce sierpniowe nie stopieło, bo on, ten śnieg, wicysty jest. Haj.

Uradził se zamieścić haw ku Kościeliskom na Skibówce, bo la cłeka, coby rad naweselić się i powietrzem i łonkom i la-sem, a od ludzi bockiem hodzić, bo ik ma doś — ha! jaze za doś we Lwowie, wse nie skutecznie osieść przy Krupówkak, Hramcówkak lebo przji Przecnicy, bo tamok som jest i warsawianki i inne, co kcom się spódobać i nie dwà brak w dzień powседni paradujom i po hrańcusku gengajom, a to là uha polskiego nie bårz miéto jest słuhować.

Mam-ci tez przed oknem siano świezo skosone, co ino je woniać, tak sendyj pachnie, màm i smat zielonego owsa i kié se śród połu siendem w słońcu na hanku, słyszę, jak krowy od plaśni zbercajom na kłapackak i w spokojności a cisy przjigłondać sie mohem szyblistym kyrdelkom obłocków nad Gewontem, lebo jak sie tam case porusom wiér-sycki smrecyn w pobliskik reglak, kié hań! z tamstela, od Osobiły wiaterek przjijażny zawieje.

Seleniejakie cuda a dziwy, cego zjiwnie se zabazić! Cłek spoziérà w duse swojom, a ta zasoła się nad tym śmiać, co tak piękny jest, i że ona, ta dusa, hociéj i biédna i niejedno złe sinstu jej daje, wólór mà za swojego zjeiwobycia tym światie się rozkosować, ród pedziałbym: kamracić się z Bogiem.

I case, kié tak se usiednem i habryke we fajecce zakurzem

i ku wiérhom popatrzem, ło mi się jaze wyskać kce — z w-selà. I przjihadzi mi na myśl król Dawid, co mądry król bëł, bo genślickie lubieł, i jego psalm o tyk kurnotkak — jagnieckak, wyskakujoncy na Libanie, wieldzażnej horze — ale zawsze nie takiej, jak nase, o haj! — w tej świętej ziemie, kany sie narodzie Pànjezus.

A, wicie, moi piékni, jescé wàm powiem jedno: Na tej nasej Skibówce tak jest, że mogem w biały dzień, z rania, abo śród połu lebo pod wiecec dzbanek do renki wziońć i w kosuli bez cuhy, nijak gazda lebo juhas, hipnoćć do lasu, do źróđła, po świezom wode, bo mi się ta woda strażnie zwidziała: do-brà jest, lepsà nize w Mardułowy studzieńce. O, lepsà! A do lasu ocienienie wystàrcy: tak bliski jest: tamo sie i cłek po-łozы na trawie abo na mientkik mhak, oey ku gałenziom i cubkom smercyn zawróci, wody sie nahluptà i innym jescé przjiniesie, coby sie nie ozpojedzili, ze majom wode niedobrom pić — z podwórka. A juści.

Sjićko dobrze jest, ale mnie się wydaje, że z wami haw gware zacynom wodzić, jak z moimi przewodnikami, Joźkiem Tatarem, Bahledom, a Obrohtom! Ale — niek — prosem piéknie — posłuhajom: Przjiwionzalek się do wàs, bo, wi-dzimisie, pismo ućciwe jest, a hociaj ludzie spělni i zbereź-niawi radzi mówiom nie warce go cytać, bo nàm doskwierà, to là tego że, jak mój marsalek Łętowski, co z harnym ju-nakiem, z Napierskim Kostkom, w Czorstynie sie zamknon i ślebody a skóry hłopskiej bronieł (haj! nie było i drzewiej ślebody, a dzisia kcieliby jom wyzenocić ze świata, bo nie-wtórym zawadzuje) — tak — ci i wase pismo we dworak za paholika nie słuzy i panientom welny nie zwija, nikomu nie ududkuje, a ino rąbie, że kłody padajom od rzutu!

Lotego z wami nie przikładam nijakiej wagi, coby sie trzjimać w pisaniu tem ładu i składu. Wyto wybacycie — prosem grzecnie.

Wićcie sjička, bo o tem już po świecie barz dużo napsowali i papierzu i jatramentu, co góråle som jest ludzie dobrzji i towarzjiśni i — Bóg świeci — niema już miendzji nimi zbójników śladu znaku.

Mówiem „Bóg świeci“, ale to niepotrzebne, bom cłek jest nie bogac a hudołny, piéniązków godnie nie mām i zbójnik po ocak by nurdział, ze kabzy moje dziurawe — nie z cienzlik dukatów i talarzjików, a ino z paliców, wtóre kiesenie drom — ze złości, ze ik się dudki nie trzjimajom. A juści tak belo drzewiej na świecie, ze zbójnik hudziąskom nie robiel nic ztego, a jesce im dał parnaście dudków, abo i porteck, wtóre wzion bogācom, bo ik majom za duzo — padał.

Tak belo drzewiej na świecie; dzisia inacej. Bogac jesceby nābiédniejsemu zabrał, coby móg, nawet konstytucyjom, hociąj dziurawa jak lahmān.

Mówiem tedy, ze góråle som jest ludzie do rzecji, ja też ku nim sie mām i rād śnimi abo sie przechadzujem, abo siedzem pod hałupom i gwarzem o dāwnyk casak, a jagze, i o dzisiejsyk, co sie nām sjičkim ludziom tak zakociły jak klėsce we welne biédnyk owiecek. A jagze.

A noc te góråle padajom, co drzewiej śwarniejse hłopy béli, a dzisia to jesce co jest hyrne i mocārne, to sukāć ik w Kościeliskak lebo w Hohołowie lebo w Lubie suhy m hān! za frajerkom Gewontowom, Gubałówk, co w słońcu sie błyscy cała w aksamitak.

Tamok jesce do dziśka som jest junāki, serocażne w plecak, z głowami, jakby mieli na nik królewskie koruny — tak je wysoko nosom, hociąj w wytartyk serdākak hodzują i w cuhak nie nowy.

Zasie Zakopańcy, ize z panami a z lachami majom spólność, już sie przjincyli niskokłaniać sahrajom o dudka, nikaj zjidy, i już tak buhać nie poradzom jak płomień z rozpalonej watry.

Tak mówiom.

Ale mnie się widzi, ze i haw, w Zokopanem, jesce, tak nie zhańbieli hociąj te damy z Warszawy, zbankretowane som jest ślahciānki, a majom selenie jakie „pensionsy“, ozkazajom górålom, coby im dworowali i nie mówieli inacej tylko „jaśnie pani“! Tak nie mądre som jest haw ludzie.

Patrzem ją case na Symka Tatara, co nāstarsy z Tatarów (naoza jest, ślicny hłop, ze ino go malować, hociąj już nie młody): hałupe swojom ma, grońtu ociec mu, sjinowi swemu, ostawiel i sam sie dorobiel piéknego statku, tak on hyzny jest, po drodze kié idzie, to jak wieldżażny pān, nikomu sie nie unizy, ze cłek mu rād sie przjipatrzować, jako sie w nim odzrywā krew sławnego Tatara — Myśliwca — Polowaca, co strykiem jego ojca bēl! A o innyk hodzom wieści, ze o dāwnom cnote strāsnie dbałe, o Gadejak, o Słopkak, o Mocarnyk, hłopak twardyk jak sękowce, nie zādnyk sietniokak na dusy i ciele. Nie dudłowi, jak zgniłe smerki, a pełni jarkiej siły, coby jesce niejednego ciemienzyciela a hańbiciela ludzkiej krwi podarli, jak smatecke, na fafręgi. Takā jesce w nik moc jest! O haj!

Ozpowiedali mnie o starym Siecce o Sabale takow, wicie, rzec: leżał Siecka cy Sabala (to szičko jedno) na łożu, umierać kciał, bo już mu tēz i cas bēło, i przjišli do niego ludkowcie, sonsiadujonci przjijaciele i towarzjiśnicy i rzekom: „Do Boga sie wybierās, cjistymidź, moze ksiendza ci przjiwiēć“. A ten Siecka cy Sabala nijakim światem na to sie nie godziel i tak im odpedział: Cjistym jest — moze nie na ciele, bo cłek case krajucesek cuhy popluł i gembe se otar, ale na dusy; nijakiego

myciã od ksiendza mi nie trza. A pote tak im se ten Siecka cy Sabala pedział dalej: „Kaby jã, wicie, gadać miał z marnym juhasem, kié za kwilecke oznãwiał se bedem z samym gazdom, Paniezusem.“ Haj! tacy to ludzie mocarni beli a moze i do dziska som jest w nasyk górak, bo moc ludu nie tak hyzo wymiera.

Podstuhujem téz podwiecier abo w późnom noc: wrãcãjom te junaki ku Kościeliskom i śpiewajom. Byba sele niejake pisanie po pańsik gazetak, co te śpiéwy dzikie i miescuhom spać nijakom miarom nie dajom.

A mój przijaciël, pãn Wojciek Brzega, górãl rodowity, uconcji sie na rzeźbiorza i duzy talent majoncji, a swoik tatrzańsik rodaków miêlujoncji bardzo mocno, pedział rãz do mnie tak: „Wiécie, padãjom, nóty strassenne, ale lã mnie to nãpiekniejsã muzyka nic nie wãzy, abo mało, przji takiej śpiewance“. I ja tak myślem kie se rozwarzujem, ze w tyk urywanyk hardyk pieśniak obzywie sie mocarny duk tyk ry-cerzy, co śpiom w Tatrak, aby sie przebudzić, jak skoro przyńdzie ik cas.

A na tyk pismaków to sie i ozpajedzem, bo głupi: sami sie nierãz za swojego zjiwobyciã upili i po knajpak a tinglak śpiéwali plugactwa, zasie górãlom krzjiwi, ze, nie upiwszy sie (a hociãj i upiwszy sie — boto casem nie wadzi) „ozdziérãjom sie“ w tyk swoik nótak, nie plugawy, a dzielnyk o osiedzia-łyk Tatrak, o białym śniezku, co ku nãm polatuje od uher-skiej strony, o bukowyk listeckach, o Janosiku i o innyk har-niasiak, co zalubieli sie w ślebodzie nad sjičko.

„Zaśpiéwãj se hłopce,
Zaśpiéwãj jesce rãz
Ej, bo sie ty mojemu
Serdecku podobàs!“

Takby sie kciãło i ciekowi zanócić z dziewczynom, hociãj by te gazetniki plugawili go, bo kcieliby i tutak zaprowadzić niewolem.

Tak my se z górãlami i z panem Wojciekem naozpowiadamy, a jest o cem gwaruje, bo kany sie tknies, tak ci sie zaraz coś przjipomina, coś, co jest i otukne i lute, i wesołe i radośne, coś, co ci pada naocnie, ze przemieskowała i przemieskuje w naszym ludzie polskim strasena siła, wtórej spożytkować my sie zanieskorzili! Tak, zanieskorzili.

Wynajonek za trzidzieci papierków całom hałupe (tanie, bo gości mało) u Marduly, co lihom wode ma ale ciek dobry jest.

Od razu, jak tylko przjiselek do niego i posłysãlek jego miano-przezvisko, przjiprzypominał mi sie jeden z takich si-lacy, co to mogliby pożytkiem być na świecie, a marnieć mu-sieli, bo nikaj nie bëło takik, coby sie na tej sile poznali.

Władnie słysãł w górak — od Orawsik zamków i Kubina jaze popod Czorstyn i dalej hań ku Krakowu o „Krwawym Mardule“, co mój gazda wnykiem jego jest cy innym krew-niakiem!?

Siłãc był jak niedźwiedz, abo i mocniejszy, a krwie łaknoncji jak ryś; muzyke ogromnie miêlował, jak Sabala, co gęslicki w renkawak nosiël i z gęslickami umar.

A krwie łaknoncji był ten Krwawy-Mardula, bo go wielgã moc ozbodzała, a nie przjiucyl sie mocy tej sprawować tak, coby ludzie i świat mieli z niej korzjiść. Nie mnogo bëło trzeba, coby sie rozsierzdiël.

Co sie, padãm, nie stało, posël rãz Krwawy-Mardula, jako w hałupie wytrzymać nie móg, w Orawice cy dalej, miêdzji Luptaków. Sukãł zwady, bo mu sie kotwiêło wysiadować w càrnej izbie z juhasami. Seł bez las i z jarkiej niecierpliwości a z niedocekania, coby sie śnimi, z tymi Luptakami spar, jon

tarmosić nogami sjićkie krzewy, co mu wlażyły w droge, łamał gałęzie i hrube jedlicki z korzeniami wyrывał i praskał o ziem. I tak idoncji, ni jak ten „cârny“ z ciemnyk Smrecyn, zpod Hrubego, co głodny wysel na wyprawę i kudłami potrzensa jonc zawendrował jaze pod Gonzienicowe stawy i tam jałowke pięknom udusiel — tak idoncji ten Krwawy-Marduła, przjistompił po drodze do jakiejś kâremy, do gospody.

Whodzi do izby, siada na ławie przji stole w konciku, ozkazuje postawić se wódki cy wina — nie bâcem juz, co — i patrzy.

Luptâki — złe ptâki, co nieraz hańbieli nasyk, tańcowali z babami, nie wiedzoncji, ze naokół w ty kârczmie-gospodzie, wilga jest niepeć lã nik.

Muzykanty grały, ale ze Marduła lubiel muzyke dobrom, tak sie w tej nie ozmielował, ino wrzasnon: A bedziecie wy lepiej grać?! I od razu wyciongnon zbójnicki nôz z za pasa i jon nim wywijać naokoło. Powstał strak; Luptâki, nim sie clek obezrzâl, w ocimieniu prask! za dźwierze! Zmiarkowali, ze to Marduła i sjickiem dziurami jeni uciekać. Slaku znaku po nik nie zostało. Ale krwie popłyneno tyle, ze można bëlô w niej brodzić po kostecki. A tem strasecniesy ten krwawy junâk bël, ze babom husty z głowy poździérâl (a te baby, frajerki, goniely prec, jaze sie im — plecy łyskały) i tak hustami w tem swojem ozpojedzeniu zamiâtâl, ni jak horen-gwiom na wielgiej wojnie, a wrzescâl: to za nasyk, Luptâki, coście im ta nieraz dogodzili! Teraz ja wam dogodziłek!!

Okrutny harnaś bël.

A rãz ten krwawy Marduła nasłyhał sie, ze w Hoholowie cy kajsiś jeden leśny bël, co hłopów za nic miał i tak ik kãtował, ze sie luto robielô na to spozierać.

I uradziel se junak tego werede sprzontnoń z oblicã świata, pomścić sie za lud.

I co sie nie stało, idzie do niego, do tego leśnego — a jesce tymi casy bël seleniejakie nudy w Tatrak — i tak padã: Moisciewy, zylê złota znalazek w górak hań! ku Palenicy (cy kajś — nie bâcem), niek mi Wasã miłość dobrze zapłaci, a wãm pokâzem, kany.

I ten pãn leśny nie mądry bël, a barz keiwy, nukać sie nie bał, ino sel s nim, z tym krwawym Mardułom, od razu. Przjibyli na turnice, kany miała być ta zyła srybelnã cy złotã i Marduła odwali wieldzażny gład i tak sie ozezwie: Panocku! nahylcie sie zlebk, jest zyła! A kie sie ten panoczek nahylił, junâk podniôs ciupage i dwa razy zderzyl go w zyły na karku i zawolał: „to macie panocku“, pedział, „za hłopów! nabiliście sie ik doś“. I pote kości umrzika zagrzebał pod gładem i poseł, krwiom już nasycony.

A te kości znalaz pote Sabała, wzion je w nãrence i okazał towarzjisowi, z którym na niedźwiedzie sie wyprãwiał, ze to nie som kostecki ludzkie, bo za wielgie na clek. Taki mocarny bël ten pãn, co hłopów kãtował, a wtóry znalaz śmierć od ciupagi jesce mocarniesego hłopa! Haj.

I ten Sabała sukał dalej, coby sie przekonać, i naseł kondeh caski z włosami. Poznał, ze to ludzkie i kości napowrot zagrzebał, bo padã, „trza to zrobić, coby sie znalazły bez trudu na sondzie ostatecnym“. „A sond“, pedziol, „na takich panów i na syćkik być musi“.

Tak pedział Sabała.

U wnyka cy innego krewniaka takiego Marduły ja zamieškãlek. Ale ten Marduła, mój gazda, krwie łaknoncji nie jest, o zbójak nie myśli, a ino w Kościeliskak na „Piłak“ bez dzień wysiadowuje, swój tartâk mã, gońty i inne, co do budowy przjinależne, wyrãbiã, a na noc do baby i dzieci w Zakopane na Skibówce wraca.

Kosorów z owieckami nie posiada, a ino śtery krowy i ja-

łowicé wypasować kàze — nie na halak, „bo hale“, pàdà, ojcowie powysprzedawali Saflàrskim, Hohołowskim, tym z Poronina i innym“ — a wypasuje na łonkak pod reglami i na trawie kole hałupy.

Mielimy haw w tyk dniak okrutny wiàtr... Od Osobity — seł, smreki gnon, o mało ik nie pokraskàł o ziem z korzeniami, a może i praskàł, hałupami trzons, ze ludzi głowa ozbołàła z takiego wiànià. Spać najakim świàte nie mogli. Mój sonsiàd, Jedrek Tatar, tagze nie spàł bez całom noc, bo padà: „Ludzie w Zakopanem som jest lekkomyślni, z ognie sie obràcać nie zdàtni, rzucom papierosa, abo patycék o ziem i bedzie niesceńście, bo sjićko w Zakopanem budowane jest z drzewa, jak klàtecki“.

Mówiem se do niego, zartujoncji, ze mozeby i dobrze bëło, kaby to Zakopane pogorzało, boby klimatyka nie zdzieràła tak piéniendzi — za nic. Zaśmiał sie, a ze mondry jest, tak nic nie pedział.

Ale niesceńścia nie bëło nijakiégo i wiater ognia nie przjinjós, ino — wode. Bez trzji ostatnie dni siedzieli my we mgłak, jak w bani. Nic nie uwidził w taki cas. Mzjiło a mzjiło, rosa śrybelnà błyscała jak pajencà sieć na sianié a owsak, kropleckami osiadła te gałenzie i te śpilki smreków i z selestem spadała na ziém. W tyk mgłak sjićko sie pohowało: i Gewont i regle; hałupy nie użrzał na dwiesta kroków.

Myślàłëś, ze to na świécie sjićko zagineno, ale nieprawda, bo case hań od wierhów przjilatowało ci do uha barz piéčne obzywanie sie juhasów a juhasek z otukności, co im luto jest bez siebie w tej samotni, a z mielości. O haj! świat we mgłak zaginon, jedna mielość nie zaginena.

Poprało też kóndek, jednak to nie wàdzi. Górale mówili: „Wàm z miasta nie dobrze jest, kié psoci, boście haw przjehali na pogodzie, ale nàm ten dësc w samom pore, bo trzeba!

Posuha wielgà bëła. U nàs, wicie płono jest, biedy prasnóć w gembe, coby uciekła prec — ani rus: kié siànto nicego, to owies hybił, kié grule dobre, siano zmocone. Tak u nàs bywa płono — pedział mi jeden taki góral, wtórego spotkàłëk, wràcajoncji we mgle od Bramki — baziło mi sie cekać słońca i nie uwidzić tej przepiéknej doliny.

Dzisia słońce, wybiéràm sie téz na wyciecke, w odwiedziny do gazdy Gerlaka.

Ale juzek bëł haw, ładnom droge zrobiël, bez Ciemne Smrecyny i Wrota do Morskiego i pote ku Zakopanemu bez Krzjizne. Napisem wam o tem sjićkiem jutro, a później o Gerlaku, a teràz zegnajcie, moi wy piékni, moi wy miéli.

II.

Usiadek se nà shodak przed hałupami i patrzem ku Gewontu, wtóry sie cał zarózowieł od zahodnego słońka.

A zahodziło to słońko za ostatniém zbocem Gubałówni, w źlebie, śklencjim sie od promieni — na pogodzie. Haj.

Całe niebo prawie ze kmar nijakik nie miało, a ino miendzji reglami, a moim druhem, od Cerwonyk Wiérhów ukàzał sie bielaawy obłoczek, a mienciusieńki kieby ocisjonà wełna, zàś, przjiodział połowine Gewontu, zeby nie bëł tak nagi, i pote dalej podniós sié ku wierhu, malàł i malàł i zapłonon ognie. Sàm jeden, bo kóndek — kwilecka, a złocistego oka już nie bëło, wanty gewontowe pociemniały i mgła hjoletowà przjikrèła smreki na reglak.

Hnetki zgàs i obłoczek, zrobiël sie jak łabędz i poleku pocihu popłynon hań! ku Kosystéj i zginon...

Zasotała sie dusa, wioldzażnà tensknica, ten nàlepsy i nawierniejsji przewodnik w tyk stronak, ogarnena jom i po-

wiedła za sobom w dalecizne, do unka gór, ku halom, ku turniom, ku stawom, co posnony jak omamione. Strzegom ik snucji to Świnica a Kościelce, cji Krzjizne a Niedziane, Hruby a Cubryna, Krzjiwań a Turkot, Niengussowieckie a Rysy.

Sendiy hodziłek, przjipatrzowałek sie watrom, buhajen-cjim w kosówkak po brzegak, nasłuhowałek pieśni zbójnickik i w cisy a uspokojeniu razem z wiérhami modliłek sie modlitwom, wtóra nie znà słów nijakik, a ino jest ozmyślaniem-cji westhniieniem, jednak większy wálór mà zaburzyć na dzwierzak Pana Boga, nize sjićkie napisane i przjiucone pà-cierze. Haj.

Jakze sie nie modlić ciekowi, kié sjićko, co mà duse, modli sie w te pore wieczernom?

A duse majom i te glazy, i te smreki, te jeziora, ita rosa srybelpistà, wtóra sie poklàdà na kosówkak i blyscy sie w gwiazdak a miesioncku, i tocko od obzywanià sie juhasów, grajonce nad scjiłami jak nàślicniejse organy w kościele tak wielgim, ze ściàn jego ocji ludzkie niaakom swiate nie do-żrzm, i to zbérzenie, slysane po halak i upłazak, i ten sum siklawic i potoków, i te selestytraw, kié sie miendzji niemi przéwinie jaki gąd, i ten gąd, i ta mgła, ścielonca sie po źle-bak — sjićko to duse swojom mà, sjićko to zdatne jest oze-znać sie w tej moce, wtórà dyhem swoim napelnia te bez nijakiego ceka, hociąjby nàwieksym pomiarowàcem filo-zofem bél, niepomierzone, niezglombione przestworzji.

Całe Tatry — od Osobitéj pod Hawraniec majom duse swojom i zyjom jak ludzie, jak gazdowie i juhasy.

Nie bylek dzisia w górak, a wzionek małom ksionzecke do renki — i ozmielowałek sie w cjitaniu. Tak ślicnà jest ta ksionzecka.

Pozbiéràł gądki a przjipowieści miendzji góràłami pàn

Stopka i dał je nàm, gościom zakopańskim, i sjićkim, co radzi som jest cjitać, aby my sie wiadowali coby nàm jesce sie barziej kotwielo ku góróm.

Nàstarsy gazda nad niemi, nad temi górami, jest Gerlak. Wstaje do dnia i obziera swoje gazdowstwo. Hodzi od sałasu do sałasu, od sopy do sopy, pożre sie na siacie, jako rośnie i cji mnogo bedzie miał roboty we zbiórki, przjipatrzuje sie kyrdelom, cji som jest duze i cji ik nie ubywa; opytà sie juhasów, jako sie im owiecki dojom i cji ik zàraza nie morzji, uwazowuje, cji owcàrze sie nad niemi nie znencajom, „cji ik nie bijom senkatymi bukowcami“, a kié juz sjićko to spràwià, wracà ten gazda do domu, siadà na ławie pod oknem i nà-légà na zone, starom gazdzine Świnice, coby mu dała jeś, bo sie końdek wyglódziéł.

A kié tak cekà na strawe a na pozywienie, mały Gewontek, co sjin jego jest, hipnie na kolana ojca, biere go za sjię i bośka, a ze juz zrania goniéł po huściakak i cetyne we włosak mà, tak mu jom stary wyjmuje i ze śpasu za włosy poskubie.

Tym case gazdzina Świnicà duhà pod garki na nàlepie i bacy, coby sie klóski jaknàprendzej uwarzjiły. A kié sie uwarzom na wielgom misce wyłozy, warzéhom ozgniecie, coby sie okłódziéły, bo „Gerlak“ nàremny jest i sam nie ràd duhà, radziej nasłuhowuje, jak skwiércy omasta, wtórom, te świńskom omaste, barz polubiéł. Póte gazda siadà na sto-łecku samorodnym z pnia o trzok ucientyk konarak, miske biere miendzji kolana, klóski nàprzódziej dzieciom ozdàwà i karmi ik, dopiero poté sàm sporzjiwà.

A dzieci majom ci oni gazdowie sporo — i Łomnice, „co matke przerosła i setnà dziewczka jest i robote swojom umié, jak sie patrzji“, i bocawego Krzjiwania, wtóry smutny jest i ràd łeb swój zwiészà, i, łakomyk na smalec, Kawrańca i Mu-

rania, i Gewontka, wtóry pote poseł do wojaków, do rycérzy mocarnyk, za parobka, coby im usługiwał.

Banowała za nim Świnica, a za to banowanie a płkanie zmóg jom Paniezus i za kare, kié béła juz barz w latach, dał jej jésce jednom córke, pośredniom turnie, coby jom na podłku swoim nosiela.

A s tymi wojakami, rycérzami, to, wiedzom moi miéli béło tak:

Kié sie Gerlak z sjiniami i córkom pozywiél, poseł ku ogniu, położył sie na ławie, nogi wyciongnon na nàlepe, habryke w fajce zakurzył i dumał se o świentyk Pietrze a Pawle, co z Paniezusem hodziéli grzjiby siać, ale zgrzesyli barz mocno, bo nie kcieli do znaku dółków zagrzebać, co do nik wsjipowali nāsienie, myślencji, ze jak nie zagrzebom, to grzjiby prendzej bedom roś.

Leniwi béli — padà Gerlak do swej gaździny i do dzieci swoik, co by im za przjkląd dał — bo i sencków mocnyk też nie wbijali do świerków, ba, inotak, coby sie zbyć tej roboty i „teràz dosiela som jest te sencki ze spodku takie strasnie słabe“.

Kié tak se gwarzjil, zburzjilo na dźwiérzak i do izby wseł starzec siwiusieńki z wieldzażnom brzodom jaze po pas, pokwàlél Paniezusa Krystusa i zaràz siad do jedzénia, wtóre mu podała Świnica z tego, co Gerlak, me zjadszy, ostawić kàzał là hudobnyk, là dziadów, bo strasnie dobrzy béł i uzjicliwy i nijakim swiate wytrzymać nie móg, coby sàm jad a inni plonieli. Dał mu tez starom cuhe, a Świnica wypranom kosule, zeby sie ogarnon, bo nie bogato béło koło niego.

A wte co sie nie robi, sum sie strasecny stàł i barz duzo zesło sie koło hałupy. Gerlak, dziwiencji sie, coby béli za jedni, wysel ku nim i padà, cji nie umrzjiki, abo wisielaki, abo cji

ik zbóje niezbiéli, bo na piersiak ik uwidział zaskrzepłom krew i rany glembokie na cieie. Ale, padà, zbójnicji héba nie, bo zbójnicji biédnyk nie ozbiéjajom i nijakiéj krzjiwdy im nie robiom.

Tedy dziad z tom barz dłudzażnom brzodom, co béł unik Marek, jon mu opozwiedać, ze to som jest wojacy, co walcyli z nie przjijacielami, za Ojejizne, i ze nieprzjijacielowie ik pobiéli. Paniezus kciàł tyk wojaków uscenśliwić, dać im za ik walecność gazdostwo w niebie, ale oni tak ukwaléli miendzji sobom, coby scenścià oniodpocjinku nijakiego nie miéć, a cekać, jaze sie speliło co Paniezus na wysokościak swoik uradziél.

„Nam trza, widzis, innyk sceniciliwości“ — tak pedziàł ten mnik do Gerlaka — „ani jādła ani picià, abo okrycia i miéskania dobrego. Ś nas zàden nie jé ani nie piye, a wiis krew, jako zaskrzepła na nasyk ciałak? To ona nàs od zimna obroni i od seleniejakiégo katowania, ze sie nikany nicego nie boimy“.

Tak, wicie, pedziàł ten mnik do Gerlaka i prosiél go, coby ik, tyk wojaków mocarnyk zawiód na sérokom równie, kaby sie spokojnie a zàcisnie mogli położyć na sen glemboki, zeby sie pote ozbudziéli, kié-wàm ik godzina wybije.

„A“ — pedziàł ten mnik Marek — „ociec, wprowadź nàs, w ciemnie. My słonka widzieć nie mozemy i nie, pragniemy bo my se to za pokute zadali. My ta do ciemni przjiwykli a i do niewygód sieneniejakik. Leć my sie doś we wiewzieniak nasiedzieli. Ino ci nie wiedzom, jakie to strasne, co przódzój pomarli, abo co królowali, jako to ci starzji, co ik tam pod smreke zebranyk widzès. To ci padàm... Ci to musom miéć widyk i musis sie o to postarać, coby go mieli, bo oni nie bedom próznować, ale bedom ozmyślać nad ogólnem zbawieniem nasjim...“

„Musis téz uważować“ — tak mu jesce pedział — „coby tam, ka my bedziemy, ludzi nie béło, a jesce zlyk, bo kielo zazji wto tam naklnie, abo komu krzjiwde zrobi, abo hojcim Paniezusa obrazi, to my sie pobudzimy. Haj. Toby my pokoju nie mieli nijakiego.“

Takom gware pedział ten mnik świentobliwy, i Gérlak uradował sie, ze moze przjishuge zrobić i tyk wojaków, co zà miéłom Ojejizne mieli na piersiak skrzepłom krew i rany barz głębokie na ciele, poprowadził ik bez huściaki w ciemne i geste bory, ku płasnie, kany som jest śpicaste turnie; i tam sie te rycérze ozłozéli i na przepieknyk siodłak koni swoik głowe sparli, coby posneni.

I tak béło, ino od casu do casu strasnie wzdychali.

A wodzowie ik, abo i królowie, barz starzji a mocarni, hociąj posiwiali (sjičko béli obrośnieńci, ze raty przeraty), siedli se koło wieldzażnej wanty, popodpiérali głowy rękami i tak sie zasotali: pewnikie układali jakieś wazne plany, bo jeden ś nik ucion se koniec palca i krwiom pisał te plány na skale, na granicie.

Z tyk wojaków nik sie nie rusa, ino jeden „nàmłodsji i nàładniejsji dodany im jest za obożnego. Ten nie śpi nigda, ino dokłada drew do watry, co sie na pośrodku pàli.“ Od orła skrzjidła se wzion i z całego świata znosi wiadomości i ejita je tym wojąkom. „Oni sie zàś nie rusajom, ino słuhajom. Ale kié powié „Polska“, to na dół głowom kiwnon sjička la wielgiego posanowania.“

III.

Co sie, wicie, nie stało dalej ś tymi rycérzami, wielgà wojna wybuchła, mocárne parobcàki sie zmówieli i w jedności, a zgodniez pošli, coby sie bić za Ojejizne.

I posłał Pàn Bóg janiola swégo do Gerlaka co całym Tatom gazduje, ten Gerlak, i kàzał mu pedzićć, ize sie juz piasek w klepsjidge przesjipàł i te śpionce junàki-wojàki juz sie ozbudzom. I janiol zatrombił na szybélnej trombie, zeby ik porusyc. I rycérze ze snu sie zerwali i na koniki skocéli, ino nie miał ik wto wywieść z tej ciemnie, kany wprzód iéj béli pospieni ci rycérze.

I uradziéł janiol z starym Gerlakiem, coby posel Gewontek. A pedzieli mu, co bedzie miał selenie jakie strahy, ale niek — mówieli — sie nie oglonda, ino ciupàzkom wywijà i sendej myśli o Oiejiznie. Bo od niego, Giewontka, zàlezne jest sjičko dzialanie i zbawienie nàrodu.

Obiecował Gewont, wicie, moi piękni, ze sjičko zrobi jak ozkazujom, ale nie żdzierzjil. Nie bël godny tégó.

Przejechàł sjičke niepecie, smoki sie polenkały, nijakiego bogactwa, złota, perel i dyjamentów, od wtóryk, od tyk bogactw, kapàły ściany, nie tykàł, ino kié przjijehàł w trzecióm izbe, raciéły sie ku niemu ślicne dziewczki, a sjičke bély nagie, i on zabàcył, co mu nakàzał janiol i ociec, przjistanon na koniu i oglondnon sie. I to bël jego grzjih. I sjička ci rycérze, wtóryk z tej ciemnie wywodziéł, stanéli i cofnonć sie musieli, bo im na te dziewczki spoziérac sie nie godziéło. Zakàzane im béło. Tak.

I wojàcji sie znówu spać pokladli a te poràbcàki mocárne, co sie biéli za Ojejizne, sjička wygineli.

Powiem Waséj Miłosci, Gerlak nié miał scenścià i do innyk sjinów, do Hawrańca i Murania.

Posłalek na te wojne, a oni, ci nie dobrzji sjinowie, zmówieli sie z nieprzjijàcielami i za dudki zradziéli. Pobrali se tez baby od nieprzjijàcielow, a te ik zmusiéli, coby im skazowali te płasnie, kany lezom rycérze.

A nieprzjijàcielowi barz sie tyk śpionczik wojaków stra-

howali — jak śmierci. I Murań i Hawrań, żli sjinowie, przjileciele ku ojcu Gerlaku, ududkowali mu, coby im pokazał, kany som jest gośpieni ci mocarni, i ze wiadom ku nim przjijaciółw wtórzyby kcieli ś nimi sie pokłaść i wstać, kić przjindzie cas.

Co sie nie stało, padam, Gerlak usłuchał i jon ik wieść ku onój płaśnie, miendzji śpiciastemi turnicami.

Tym case przjileciał Krzjiwań, co dobry i nie zdradliwy sjin bół, rucił sie na kolana i prosieł Górlaka barz mocno, zeby tego nie robiół, bo nie swoi som jest, a nasi nieprzjijaciele. Gerlak posuszny bół w te ospajedzieli się synowie nie dobrzji i rucieli sie do bitki z ojce a brate Krzjiwanie i ik pahołkami.

Zaś nieprzjijaciele mocniejsi béli i lepsom broń mieli, a Gerlak i jego pahołcji wywijali ino ciupagami. Nić ma tez zdziwienia, ze ik nieprzjijaciele pobieli i ku miejscu pkać sie zaceni, ka lezom mocarni. Ale Gerlak widzencji to, zdjon cuhe swojom i z Świnicy zapaske zdar i jesce takom wieldzażnom huste i nakrół ik obóz, a Gewont stanon u dziury, ka sie whodzi do nik, i dziure te zatkół sárocażnemi plecami i nieprzjijaciółw prał, jaze zginon i odpokutował swój grzjik, co tyk rycérzy kiejsi nie bół wywiód. Dusa jego posła se miendzji tyk wojaków, bo hyrny hłop bół i Ojcizne miółował nad zjicie.

W te Gerlak, kić zużał te niepeć, jon kornie pytać Pàniezusa coby go uznół godnym tekj łaski i tyk śpioncyk załował od nieprzjijaciela. I Pàniezus wysłuchał go, iże godny tego bół, i tem huste i zãpaske i cuhe przemieniół w granity i nakrół niemi tyk mocarny.

Ale i sãm Gerlak zacon kamienieć od dołu a nastãrsy baca jego, Lodowy, w lód sie obróciół i tak zimno oddyhał, jaze pomroziół sjićkik nieprzjijaciółw. Zaś Hawrań i Murań, wie-

dzom, jeni uciekać na wyhód słońka, coby sie przjigrzali, ino Gerlak — co bół jesce nie skamieniół doimentu, wyciongnon ręce i zacon ik przeklinać — tak strasesnie, ze sjićko naokoło pokamieniało i do reszty uziębło.

A tyk wyrodneyk sjinów dosiengneno przekleństwo w drodze i obróciół ik w skały — hań, ka ik do dziska uwidzis, jako na wyhod słońca wieldzażne a samotne som jest glazy.

Wiedzom, bez te huste i te zãpaske i te Gerlakowom cuhe rycérzom bół dusno i posłali mnika Marka do Pàniezusa z pytaniem, coby im jasny widyk dał. Mnik otrzjimał podzwolenie i sãm je zrobiół, to Morskie Oko, a teraż, dosiela, razem z Młynãrzem, wtórymu jest dodany za pomocnika, strzeżego od nieprzjijaciela, iże pod niem, pod tem Okiem, jest granitowy stół, na wtórym ci królowie a starsi onyk bojowników krwiom spisywali swe plany. Wsęgo trzeba bronić, tego Morskiego Oka. Haj.

I jesce haw bėła jednã bitka: biėły sie wiatry ze sobom.

„Halny wiãter, co duhem jest onyk złyk sjinów Gerlakowyk, hyciół sie Powihru, co po górak jencji.“ Narobiół takiego tryjontu, takiego krzjiku a hałas, ze sie juhasowie poprzestrãsali i pouciekali w lasy, coby sie pohowali w dziury i pod wykroty. „owiećki sie zaś postrahały i do dziska samotne, postrahane goniom samopas abo kyrdelem. Owcarłki ono jeny scekać i wyć takim załosnym głosem, ze sie ik kãzdemu luto stało. Sjićka ik załowali i załujom.

Takie, widzicie, bėły w Tatrak dziwy i jescek som jest do dzisiak. Haj.

A coby jesce kcieli, cobyk miół im opedzieć a co wycjitatek w tyk wspaniałyk poezjijak, uzbieranyk bez pana Stopke?

Moze o tej barz ślicnej królewnie, wtórom sjićka nazywali Bystrom, tak ona, ta królewna, pysnom bėła? Hodziół do

niej, do téj juhaski, sjin Gerlakowy, Gewontek, bośkał sie ś niom serdecnie i nijakim świacie bez niéj nie wytrzymił, hociąj ojciec mu przjikazował coby cjiśty bół i tyk wojaków wywiód z tej płasnie. A hodziół do niéj poleku pocihu tom drogóm, ka dzisia jést Mientusià hàla. I podpatrzyła ik sowa, siedzonca na turniak i zdała ik z zàzrości, jako wej sjićkie baby som, jest zàzrośnice wieldgie; zakare przemieniona jest w glaz, bo miéłości a kohaniu przeskdzować nie godzi sie, a włokce, widzié jom, moze, te Sowe, do sieta w Kościeliskak.

A ta Bystrà, kié sie strasnie shańbiela i dziecko Gewontowe zarznenà, stała sie wieldzażnom a pysnom góróm, wtórom nàlepiej uwidzié od Stawu smrecyńskiego za Smytniom. Byłék tamok, tratwóm po càrnej wodzie pływalek i barz sie radowalek, tak ślicny, prześlicny jest ten stàw i ta Bystrà osiedziała.

Zaś w miejscu, ka ona, ta Bystrà, zakopała swe dziecko, wyrós jawór, co go pote ścieni juhasy i porobiéli s niego genślicki. Ale te genślicki jencaly barz otuknie i ono jednom śpiewonke grały — o tej niedobrej mamieccie i o tej dziecinie, co jom Bystrà zabiela i pohowała pod jaworem. Pote zbójnicy wybudowali na tem miejscu kaplicke, wtóra do dziśka biała jest w Kościelskak, miendzji bramóm Kantakowóm a Leśnicówkom. Przjijehajcie w Zakopane, użrzyjcie jom na własne ocji. Haj.

Moze wasym miłoscióm przjipomnieć o tym Matusku z Pàlenicy, co z pyky, jako sie bogàcem stał bez te rycérze i świntego dziada nie usluhàł, przemieniony jest w eko i dzisia ino hodzi po górak, sukà tego siwiusieńkiego, co mu znik na wieki? Ludzi sie boi ten Matusék i kié wto zawołà, prec uciekà w dalecizne a ino sjićko powtàrzà, „coby sie éwicył, coby sjićko dobrze bàcył.“

I on miał ozbudzić tyk uśpionyk wojaków, ale bez te bogactwa honorny sie zrobiół i pyha go zgubiela i wykonać wielgiej rzecji nie dała. Haj.

A béło tak, puścił se z ludem do tyk rycérzy, a ten lud wojować kciół, i došli za Braume i spotkàł tamok biédnom, barz biédnom dziadule, co go pytała o jàmuzne. Nàlégala na niego, ze sie jaze zgniéwał i nie kciół mu sie juz oskàzować z hyrności, coby sie co téj dziaduli stało, cego se nabaziła, jak mu wse robié i zleciół ów starzec, a ino sàm z kieseni swej wzion talarka i dàł jéj tej zebràcce. A ona zaraz skamiéniała i do siela jest za Bramkom, a Matuskowi sjićko zaràz przepadło.

Haj! jesceby ta duzo godzelo sie wàm pedziéć: o tym juhasiku, co là tyk rycérzy woziół prok, ale našli go nieprzjiàciele i ten prok zabrać mu kcieli. Ale on nie pedziół, co wiezie, gdzie i là kogo, ino uklonk na Łysànkak u Stonzyskiej ibarz sie Pàniezusowi pytał, coby ten prok stàł sie jarce. A kié nieprzjiàciele uradziéli se zabrać ten jarzec là swyk koni, tak modlél sie ten juhasik strasnie pięknie, ze jarzec zamiénił sie w skały.

I tak béło, ale i hłopiec skamiéniał i do dziśka klency na Łysànkak, jaze przjińdzie cas, kasie obudzi, coby ten prok wioz znowu dalej, kié bedzie potrzeba...

A, wiedzóm, przjińdzie ten cas kwalebny i takà potrzeba spodziéwanà, bo juz kowàle kujóm polskom korune w Si-klawicak, a kujóm ze zlotyk jàjek, wtóre znosi jednà cudownà kacka na stawie, w tej płasnie, kany śpióm rycérze. Te jaja rzàdkie som, bo bez rok jedno zniesie i to ino wtedy, kié jakà baba urodzi trojàcki.

Hodziół do nik, do tyk mocarnyk wojaków, i Takla, kowàł w Kuźnicak cji kanyś, coby im konie podkuwał. Móg ik wyprowadzić i nàs biédnyk z niewoli wybawić, ale rãz ze pod-

kuwał złotem zbójnickiem, a zbijanego złota brać się nie godziło, nie cjiście jest; inny raz naklon i sjićko poszło na nic, a inny raz barz kciwy bół i wojsko musiało się znova na siodlak swoik koników położyć. A tym koniom od zbijanego złota barz rośnie róg i wieldzaźnie ik boli.

Zaś ten Takla kciwy bół, bo kié mu janiół zapłacił strózinami, tak on się ozpojédziół, że go ten janiół osukał, oćmiół, stróziyki z torbe na ziem wysjipół, ale pote barz lutował, bo kié požrzał do torbe, ta resta co bół jesce z tyk strózin, stała się śrybelnymi talarzikami. Ale te co je prasnon o ziém, te som jest stróziny, nie więcy.

Prógował-ci ten Takla jesce raz zahodzić do tyk rycérzy, podkuwać im konie, ale juz nie nie ździerzył, stróziny w śrybło się nie zmieniły, bo on nie seł ku nim, coby ik wywiód i ludziom dobrze ucyniół, a ino z kciwości. Haj.

I tak ci mocarki śpiom w tyk nasyk umiélowanyk Tatrak, ale się obudzom. Przińódom strasne casy, kié sjićka stanie proci sjićkim, ociec proci sjinowi, córka proci matce, jeden nie podà drugiemu konsecka hleba, apo świecie hodzić będzie okutnà howieda o siedmiok łapak, z głowiznom ze zelaza, z ocami na dziubie, a patrzeć będzie zézem — jednem okie prosto, a drugiem ku zahodowi słonka.

I taki stanie się tryjont bez tego smoka, że ludziom, co ostanom a nie poginom nàprzódziéj, wydawać się będzie, cji to koniec świata i Sond Ostatecny, cji co. Ale Pàniezus się złutuje i wybiere takigo juhasa, co cjiستم jest i nijakiego grzihu nié mą, a mocarny będzie, barz ucony, bo się przi owieckak wprawiół w te nauke i wie, jak się z tymi śpioncymi rycérzami obhodzić, coby ik ozbudzić i wywiéść.

I stanie się wieldzaźna wojna, jakiej na świecie do sela nie bówół, a pote ludzie się pogodzom, zawrom pokój wieczysty w Kuźnicak, na zelaznym mostku i barz bedom ścensliwi,

bo zapanuje miendzji niémi jedność i zgoda, i sjićka bedom jako bratowie, zrodzeni z jednego ojca i z jednej matki. I Organy, co som teraż skamieniałé, zacnom grać, że raty przeraty, tak ślicnie, a kié zagrajom tym ludziom pod noge, bedom tańcowali z wielgiéj wesołości, co się to złe na świecie już zakończyło. A Nosół, co je dzisia skałom, smreke obrosłom przy Kuźnicak, będzie świadkie tego pokoju i pote się wywali, coby pod nim zložjili te skrzjinie z pargaminem, na wtórym spisany jest ten pokój i ta zgoda wieczystà, zawartà na mostku w Kuźnicak.

Pote sjićka zekcom, coby ten mocarny i dobry i cjiсты juhas im królował, ale nie przijmie, ino pudzie w hãle paść swe owiecki, jako i drzewiów bówół, a hociej w całà ojezynie wielgie będzie radowanie, on ostanie barz smutny.

A wiedzom ik miłości lą cego?

Kié bół u tyk rycérzy, coby ik wyprowadziół na te wielgom, na te ostatecnom wojne, użrzał miendzji temi nagiemi dziewczkami jednym prześlicnom. Ta mu się barz uwidziół, ale się nie zawróciół ku niéj, nie uleg, boby wojaków nie wywiód i świata nie zbawiół. Teraż sjićko dobrze się skończyło, posel raz jeće do téj ciemnie, żeby się spotkać z tom dziewczkom i wzionć jom za zone. Ona mu się pokazała lą tego, coby się na nim zemścić, co się jéj wprzodziej skusić nie dał — i pote znikła.

I bez to ten juhas tak jest okutny, tak jest barz zasmucony. Haj.

Takie som te przepiékne opowiedania, wtóre pàn Jendrzéj Stopka spisał od ludzi i w ksionzce osobnej w Krakowie wydał. A urodziół się ten pàn Stopka w Kościeliskak, tamok Stopkowie som jest głopy mocarne, za młyne, za potoke, kany jà się nieraż kąpiem. Posel pote do Krakowa, ka się selenie-jakik mondrości naucół, ale, wiedzom, swyk bratów-górali i te nase Tatry barz umiélował, o nik nie zapomniół, a kciółby, coby się w nik sjićka tak zalubiół, jak on. Haj.

Niek wam Bóg poscenci, panie Jendrzeju, za te strasnie kohanom godzinie, wtórom miłek citajencji wase przepiękne pisanie.

A wy moi mieli cjitelnicy i przijaciele, grzecnie prosem, cobyście sie nie gniawali, ze wam w tyk słowak a gwarze sprógowalek ożpowiedzić treść tyk przjipowieści i gadek, co som jako nąpysniejse śpiewonki.

Nálepiej bėłoby, zebyście se te ksjonzecke kupieli i tez sami haw przjijehali, hociąj by sie wam trza bėło żywić samemi koziombeckami. Ale tak źle nie jest. Haj.

Połozjilek pióro i wyselek przed hałupe Mardulowom i ku Tatrom z tensknicom poźrzalek. Noc bėła. Gewont spał miendzji reglami, jak junak, co sie zrąna ożbudzi ku dziełu. Smreki go miłujencji objeny i case wždyhały. Haj! Wto zgadnie, lą cego?

A za Gawonte sukała dusa tej płaśnie i tyk spicastyk turni, kany posneni som jest ci mocarni.

I nasłuhowalek sie — i nasłuhowalek, bo mi sie zdało, że już przjihadzi ten cas, kié sie majom obudzić rycérze i kié mą być ta wielgą, ta ostatecną wojna i kié mą nastać śleboda i jedność i braterstwo sjićkik, co som jest ludzie bożji na świecie, i w Polsce i dalej.

Nasłuhowalek sie i okutno mi sie zrobielo na nuku, a pote i wesoło, bo mi coś gwarziło od tyk regli i od tyk wiérhow, ze taki juhas, co ik wywiedzie, tyk mocarnyk, już sie narodził i wypasywå swe owiecki.

I ten juhas, moi mieli, moi dufajencji, to nik inny być nie moze, ino lud, polski nas lud, wtóry tak głębokie, nadzieji pełne wymyślił przjipowieści i z tom dusom, co jest od Pana Boga, takom wieldzażnom duse zjednocoł i wlał jom w swoje pola, w swoje doliny, w swoje góry niebotyczne, w te nase granitowe Tatry.

Wicyste som jest te pola, te doliny, wiecny jest lud polski i jego umiėlowana Ojczizna i ojcowizna. Haj. Zegnåjcie was.



PRZYPISY I OBJAŚNIENIA

I. Do wiersza: List do Z. Dębickiego („Avanti przy Chianti“) — Ten rym umieścił ktoś na karcie wysłanej do Kaspro-wicza i to było punktem wyjścia jego odpowiedzi.

Dębikowic = Zdzisław Dębicki.

Lilli = Aurelja Reymontowa.

Bella = Izabela Krzywoszewska.

Molacina = właściciel restauracji w Poroninie.

P... z Gadek = określenie gaduły, używane w poznańskim. która „kocha bardziej“ — mowa o Zofji Dębickiej.

Maciej = Maciej Wierzbński.

II. Przedmowa poety poprzedzająca bajki klechdy i baśnie nie odnosi się do utworów, przedrukowanych z Reitera.

III. W fejetonie „Z Tatr“ przez å wyrażał poeta dźwięk o.

POSŁOWIE XVII TOMU

Utwory Kasprowicza, zrodzone z uczuć patriotycznych i społecznych podczas wojny i w pierwszych latach powojennych mają swoje odrębne, wspólne im wszystkim piętno. Choć niektóre z nich artystem, rytmiką i kompozycją przypominają „Księgę ubogich“ a inne, jak n. p. satyryczne utwory ze „Szczutka“ lwowskiego dają wyraz oburzeniu lub ironji i raczej do publicystyki należą, — chociaż niektóre są lirycznym wyrazem smutku, bólu, a inne mają charakter bojowy, choć jedno są wierszowaną gawędą bez poetyckich zamiarów, a inne noszą piętno głębi jego ducha — stanowią one całość. Wizerunek indywidualności o rysach prostego surowego posagu, który nam narzucają stanowi o tej ich całości. Mamy przed sobą tę mocną a głęboką, cudowną organizację moralną poety. Raz wzniesić nas chce poeta ku niezłomnej wierze, staje się strażnikiem hartu i godności narodowej, by za chwilę przemówić jak zwykły obywatel o obawach i troskach chwili, albo ująć sprawy trzeźwo, po chłopsku. Cóż za mieszanina rodzajów w tym cudownym liście do Makuszyńskiego. Z zabawy piórem człowieka znużonego, stojącego poza obrębem życia, coś za przejście ku tej, oświeconej ostatnimi promieniami zachodu, erupcji głębin, coś za starczy demonizm trzeźwości w satyrycznej charakterystyce czasów. To wszystko dowodzi nam, że Kasprowicz reagował całą skalą swej osobowości na zjawiska społeczne tych lat przełomowych i dlatego — rzecz paradoksalna — *disiecta membra poetae* działają jak skrót syntezy jego ducha.

Aby dać obraz rozwoju historycznego osobowości poety, pomieściliśmy te drobne utwory razem w tomie, poprzedzającym ostatnie, zamykające ogień twórczości którym, jest „Mój świat“. Sprawą już technicznego kompromisu, że w dalszych częściach tomu pomieszczamy i inne okolicznościowe utwory wcześniejsze i utwory dla dzieci i młodzieży. Opracowania bajek, klechd, i baśni nie stoją na wyżynie artysty innych utworów, ani nie świadczą o uzdolnieniach pedagogicznych. Ale stanowią ważny dokument; Kasprowicz nie mógłby na modłę mickiewiczowską mówić o śmierci i narodzinach szeregu osobowości w swem wnętrzu. Żył w nim zawsze pierwotna, naiwna, korna część nie tylko dla wartości moralnych, lecz i opromienione miłością wspomnień młodości, przywiązanie do naiwnych symbolów, w których poraz pierwszy, za lat chłopięcych, dane mu było wyobrażenie o świętości, bohaterstwie i poświęceniu. W tem umiłowaniu prymitywnych wierzeń i symbolów jest cząstka duszy nawet tego dojrzałego wielkiego poety; Kasprowicz umiał i czasem chciał być naiwnym; zachował w sobie zawsze coś z dziecka i coś z surowej bezwzględności etycznej natur prostych, odrzucających w pewnych momentach sceptycyzm wyrafinowania na korzyść chłopskiej prostoty sądu i przeświadczenia.

Wiersze przedrukowaliśmy z czasopism; satyry ze „Szczutka“ uzupełniliśmy wedle poprawek S. Wasylewskiego i L. Płoszewskiego, znajdujących rękopisy. Akrostych otrzymaliśmy w odpisie Józefa Weyssenhoffa. Utwory dla młodzieży przedrukowaliśmy z II-go wydania „Bajek“ i z wypisów M. Reitera.

Portret poety, wykonany przez Władysława Jarockiego, pochodzi z r. 1919. S. K.

SPIS RZECZY:

I. POEZJE (1918—1920)

	Str.
Ludziom wąpiącym w przyszłość 22, I 1918	7
W tę noc zwycięskiego święta pd. „Dziennik powsze- chny“ nr. 1, 1919	8
Bóg z tobą polski żołnierzu pd. „Słowo polskie“, nr. 60, 1919	10
Ślepce pd. „Przegląd światowy“, nr. 1, 1919	12
Rozkaz, pd. „Drużyna“, nr. 51, 52, 1919	13
Pieśń ochotnika pd. „Gazeta Poranna“ nr. 192, 1920	14
Baltja pd. „Gazeta Warszawska“, nr. 341, 1924	15
Dzień zmartwychwstania, dzień wesela pd. „Szczutek“, nr. 3, 1918	17
Mitologia wojenna pd. „Szczutek“, nr. 6, 1918	18
Z „Pieśni murzynów“, Jestem-ci murzyn... pd. „Szczu- tek“, nr. 8, 1918	19
Z „Pieśni murzynów“, Murzyn-ci jestem! pd. „Szczu- tek“, nr. 11, 1918	21
Z „Pieśni murzynów“, Wilson, Wilsona, Wilsonowi... pd. „Szczutek“, nr. 12, 1918	23
Z „Pieśni murzynów“, O przyjaciele, przyjaciele, pd. „Szczutek“, nr. 13, 1918	25
Epitafium pd. „Szczutek“, nr. 20, 1918	28
Trudno się nie śmiać serdecznie, pd. „Szczutek“ nr. 1, 1919	31

	tr.
Kochany obrońco Lwowa, pd. „Szczutek“, nr. 47, 1919	34
Ano! więc mamy silny rząd... pd. „Szczutek“ nr. 2, 1920	36

II. LISTY I WIERSZE OKOLICZNOŚCIOWE

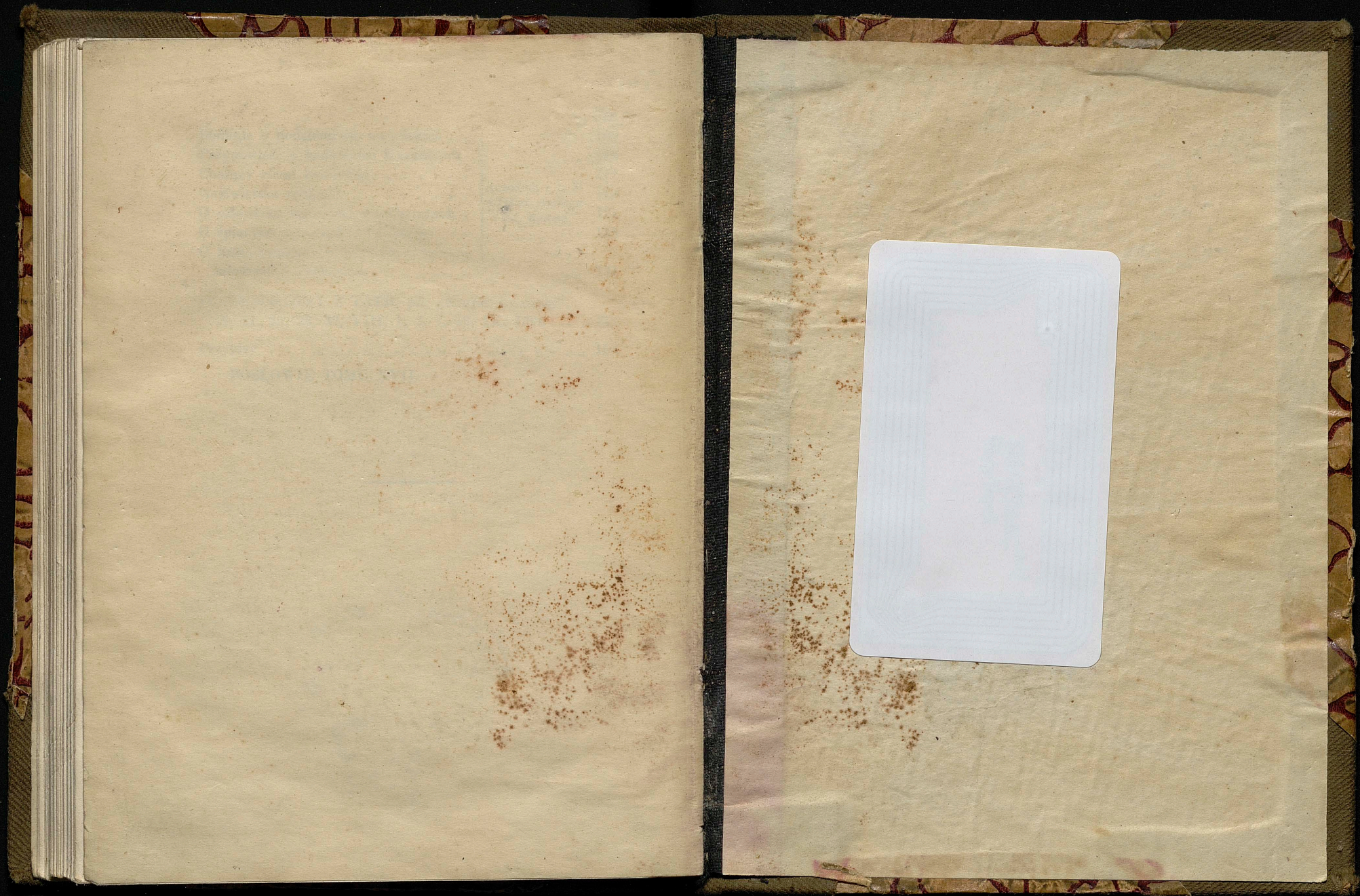
O rzeczach codziennych i zwykłych (p. L. Bernackie- mu na pamiątkę) pd. „Słowo polskie“, 284, 287, 289 291, 1919	43
Dedykacja „Marcholta“ na egzemplarzu przesłanym J. Weyssenhoffowi pd. „Rzeczpospolita“, 1921	54
List do Kornela Makuszyńskiego, pd. „Rzeczpospolita“ nr. 350, 1922	56
Do pani M. (O wszystkim i o niczem) pd. „Rzeczpo- spolita“, nr. 27, 1924	61
List do Z. Dębickiego („Avanti przy Chianti“), 1907.	65
W albumie, „Tygodnik Narodowy“ nr 37, Lwów 1900	70
Wiersz wstępny do przekładu „O miłości do ksiąg“ R. de Bury, 1921	71
Pamięci Wilhelma Feldmana, (w Księdze Pamiątkowej) 1922	75

III. BAJKI, KLECHDY I BAŚNIE

Morskie Oko	80
Ucieczka	84
Bajka o dżumie	87
Koszalki opalki	88
Bieda z Nędzą	92
O szklanej górze	97
O Madeju rozbójniku	99
O cudownym dębie i baranem kozuszką	101
Czarnoksiężnik i uczeń	104
Oczy urocze	107

	Str.
Podanie o podziemiach wawelskich . .	109
Przypowieść o królewiczu Kazimierzu .	114
Chorąży ziemi lwowskiej	117
Najświętsza relikwja	119
O człowieku łagodnym i zwierzętach .	121
O śpiących rycerzach w Tatrach. . .	125
O królu węzów i o walecznym a czystym młodzieńcu Perłowicu	131
IV. FEJLETONY Z TATR, pd. „Kurjer Lwowski“, 19, 21, 23, 28, 30, VIII, 1, 3, 7, 10, IX, 1896 . .	137
Przypisy	163
POSŁOWIE TOMU XVII.	





2708

